Nr. 22. Poznań, Niedziela 2 czerwca 1895r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna
wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. f. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Fojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TRESC.

WYJAŚNIENIE.

Nareszcie możemy czytelnikom naszym podać autentyczne szczegóły o stanowisku „Koła polskiego“ w sprawie ustawy przewrotowej. Informacye nasze nie mają charakteru urzędowego, bo sekretarz „Koła“ nie nadesłał nam dotychczas oficyalnego wyjaśnienia, ale oparte są na źródłach tak poważnych, że wiarogodność ich nie ulega najmniejszej wątpliwości.

Na decydującem posiedzeniu „Koła polskiego“ postanowiła reprezentacya nasza głosować przeciw ustawie przewrotowej (w formie rządowej i komisyjnej) j a k o c a ł o ś c i, natomiast przy głosowaniu nad poszczególnemi paragrafami projektu komisyjnego popierać niektóre z tych paragrafów. Po dłuższej dyskusyi w gronie szesnastu obecnych na sesyi posłów zapadła uchwała niemal jednogłośnie. Samo głosowanie w parlamencie przedstawia obraz następujący. Koło polskie głosowało **za 5 paragrafami projektu komisyjnego**, i to:

1) za § 130, którego brzmienie jest następujące: „Karze pieniężnej aż do 600 marek lub więzieniu aż do lat dwóch podlega ten, kto w sposób zagrażający pokojowi publicznemu zaczepia publicznie w obraźliwych słowach m a ł ż e ń s t w o, r o d z i n ę i w ł a s n o ś ć (!) jako podstawy porządku społecznego.“ (Cytujemy tylko te ustępy paragrafów, które dotychczas w kodeksie karnym się nie znajdowały i na mocy nowej ustawy wprowadzone być miały.)

2) Za § 166. Giętki ten paragraf opiewa, że t r z e c h l e t n i e j (!) karze więzienn[ej] podlega ten, kto w obraźliwych słowach zaczepia wiarę w Boga lub chrześciaństwo, albo Bogu bluźni, oraz kto publicznie obraża jakikolwiek z kościołów chrześcijańskich lub którekolwiek z towarzystw religijnych istniejących na mocy praw korporacyjnych w obrębie rzeszy niemieckiej, — i c h n a u k i, u r z ą d z e n i a i o b r z ą d k i, — wreszcie kto w kościele lub w innem do religijnych zebrań przeznaczonem miejscu dokona obraźliwej swawoli (beschimpfenden Unfug treibt).

3) Za § 184. Paragraf ten zagraża sześciomiesięcznem więzieniem temu, kto niemoralne pisma, obrazy lub rzeźby sprzedaje, wystawia, rozszerza lub reklamuje, kto przez anonsy stara się wejść w związki niemoralne, oraz kto przedmioty przeznaczone do niemoralnego użytku w miejscach przystępnych dla publiczności wystawia lub publicznie ogłasza.

4) Za § 184a. Paragraf ten brzmi: „Karze więziennej aż do trzech miesięcy i karze pieniężnej aż do 300 marek lub jednej z kar powyższych podlega ten, kto na ulicach lub placach publicznych wystawia albo przytwierdza druki, obrazy i rzeźby, które w p r a w d z i e n i e m o r a l n e (unzüchtig) n i e s ą, ale grubą nieprzyzwoitością mogą uczucia wstydu i obyczajowości dotkliwie obrazić. (?!!)

5) Za § 42 (ustępem drugim) wojskowego kodeksu karnego. Paragraf ten obostrza przepisy karne dotyczące osób, które już aktywnie w wojsku nie służą, ale należą jeszcze do tak zwanej „rezerwy“ (Personen des Beurlaubtenstandes). Kto z ludzi tej kategoryi ukarany został przez sądy cywilne za zdradę stanu, obrazę monarchy krajowego lub książąt rzeszy, opór przeciw władzy i naruszenie porządku publicznego, może być jeszcze dodatkowo przez sądy wojskowe ukaranym dymisyą ze służby wojskowej lub degradacyą.

Oprócz paragrafów powyższych głosowało „Koło polskie“ za zniesieniem „paragrafu ambonowego“ a przy obradach nad § 112 (ośmieszanie wojska lub wojskowych urządzeń wobec członków aktywnego wojska) za poprawką katolickiego posła Lenzmanna; — gdy poprawka ta przepadła, oświadczyła się reprezentacya nasza przeciw § 112.

Do głosowania nad projektem komisyjnym jako c a ł o ś c i ą nie przyszło.

Tak się przedstawia stanowisko „Koła polskiego“ wobec „ustawy przewrotowej“, a na mocy tego okazuje się, że sceptycyzm nasz wyrażony w artykule p. t. „Zamieszanie“ i zarzuty wytoczone w artykule „Niepoprawni“, posiadały w znacznej części przynajmniej, słuszne podstawy. Z pięciu powyżej przytoczonych paragrafów wynika bowiem, że to, co stanowiło zasadniczą barwę projektu komisyjnego, co było jego esencyą i głównym filarem budowy, co składało się na kamerton całej ustawy, znalazło poparcie Koła polskiego. Wieje z tych uchwał komisyjnych jakiś prąd wstecznictwa, idzie jakiś wielki przypływ mroku, który kładzie się na myśli ludzkiej, na sztuce, literaturze, nauce, ćmi światło i dusi swobodę ruchu ideowego. Pozornie zdawać się może, że w tych łańcuchach, ukutych przez stronnictwo centrum, jest tylko hamulec przeciw wybrykom walczących prądów i tarcz przeciw nadużyciom artyzmu w celach rozpusty, ale wnikając w treść pogrzebanej ustawy widzimy, że te łańcuchy giętkie są i elastyczne jak kauczuk. Wyciągnąć je można i wydłużyć tak, że jak wąż owiną i zduszą wszystko, co ująć się nie da w żelazną obręcz panujących dogmatów społeczno-filozoficznych i zdawkowej etyki filisterskiej. W dziedzinie nauk społecznych, w zakresie filozofii i sztuki, w walce politycznych prądów staje ta ustawa nietylko jako słup graniczny tam, gdzie się kończy polemika, nauka i piękno a zaczyna swawola, wybryk i rozpusta, lecz jako bicz policyjny świszczący nad uchem tych, których myśl nie jest przykrojoną według rządowo-klerykalnego fasonu. Złożywszy w całym szeregu artykułów poglądy nasze na treść i skutki reakcyjnych zakusów, nad którymi parlament wyrok śmierci ogłosił, możemy dzisiaj poprzestać na tym ogólnikowym komentarzu, a pozostaje nam chyba dodać, że lubo Koło polskie stanęło w opozycyi do kilku ogniw tego łańcucha, którymi centrum katolickie skrępować chciało całe społeczeństwo, to jednak głosując za całym szeregiem ustaw niebezpiecznych, za najwybitniejszemi atutami wstecznictwa, za ciężkiemi hamulcami prądów humanitarnych, stanęło w sprzeczności z wolą narodu, zamanifestowaną z całą energią i stanowczością. To też my słowa protestu i krytyki, wypowiedziane w artykule p. t. „Niepoprawni“ zaledwie złagodzić możemy, lecz opierając się na programie, któremu służy nasz organ, rozgrzeszać nie mamy prawa.



Konflikt ministeryalny na Węgrzech.

II.

Z innej dziedziny życia społecznego, również jednak zawiłą i do rozwiązania trudną jest następna sprawa, która się do konfliktu hr. Banffy'ego z kardynałem Agliardim przyłączyła. Zatarg rządu węgierskiego z nuncyuszem papieskim przerodził się mianowicie w dalszych swych konsekwencyach w konflikt władz austryacko-węgierskich z węgierskiemi.

Jak to powszechnie wiadomo. Węgry cieszą się zupełną niemal samodzielnością polityczną. Unia ich z Austryą jest czysto osobistą. Rozkład wspólnych ciężarów podatkowych, unia celna i handlowa — dokonywują się na drodze umowy dyplomatycznej, za pomocą traktatów,

co lat parę odnawianych. Budżet wojskowy i ministeryum spraw zewnętrznych zatwierdzane są przez doroczne delegacye obu parlamentów: węgierskiego i austryackiego. Obie części monarchii habsburgskiej posiadają swe odrębne rządy, gabinety swe ministeryalne. Jedynie teki ministeryum wojny i spraw zewnętrznych wspólne są dla Trans- i Cislitawii.

Zdawaćby się mogło, że trudniej o rozumniejsze i praktyczniejsze przeprowadzenie unii dwóch krajów, z których każdy chce zachować całkowitą swą autonomią. Sprawy polityki wewnętrznej we wszystkich jej przejawach podlegają wyłącznej kompetencyi każdego z obu złączonych państw. Polityka zaś zewnętrzna i militaryzm są dziełem wspólnem całej monarchii, w tych bowiem sferach publicznego życia występuje ona zawsze jako jedna jedyna całość.

Pomimo to widzimy dziś poważny zatarg władz jednego ze złączonych państw ze wspólnem dla całej monarchii ministeryum spraw zagranicznych. I zatarg ten nie da się bynajmniej złożyć wyłącznie na karb nietaktu jednej lub drugiej z poróżnionych stron, jak to prasa oficyalna przedstawić usiłuje. Zarówno hr. Kalnoky jak i bar. Banffy, każdy ze swego stanowiska, był jak najzupełniej uprawnionym do tego, co uczynił, i co więcej, było to nawet poniekąd jego obowiązkiem. Prawda, że z obu stron padło nie jedno zbyt ostre słowo, że spór przybrał formę raczej polemiki dziennikarskiej, niż poważnego konfliktu dwóch przedstawicieli rządowych a sytuacya pogorszyła się przez to niezaprzeczenie. Nie o to nam wszakże chodzi. Nie w formie oświadczeń Kalnoky'ego i Banffy'ego leży jądro kwestyi, lecz w niedostateczności podstawowych urządzeń konstytucyjnych Austro-Węgier.

Bo i w rzeczy samej, o ile w świecie abstrakcyi da się polityka zewnętrzna od wewnętrznej jak najzupełniej odgraniczyć — i na tej podstawie najprzeróżniejsze systematy państwowe centralistyczno-autonomicznie zbudować — o tyle życie praktyczne wskazuje na ciągłą i stałą łączność spraw polityki wewnętrznej i zewnętrznej. Weźmy chociażby ów zatarg Kalnoky'ego z Banffy'm. Nuncyusz papieski przedsięwziął podróż agitacyjną do Węgier. Nie mogła pozostać ona bez poważnego wpływu na tok walki, którą dziś rząd węgierski wiedzie z partyą ludową i izbą magnatów. Jest to więc bezwarunkowo kwestya polityki wewnętrznej. Jako taka podlega ona kompetencyi rządu węgierskiego. Jedynym wszakże sposobem obrony przed agitatorskiemi zakusami kardynała Agliardi jest interpelacya Watykanu. Tu już wchodzimy w sferę dyplomacyi, a więc polityki zewnętrznej. — Setki podobnych przykładów daje nam każdy rok politycznego życia Europy. Nie szukając daleko, wspomnim tylko o stanowisku agraryuszów niemieckich do sprawy traktatu handlowego z Rosyą. Walczyli oni przeciwko niemu, gdyż zatrącał bezpośrednio o ich interesy ekonomiczne. I odwrotnie cesarz i rada związkowa sprzeciwiali się projektowi hr. Kanitza głównie ze względu na stosunek dyplomatyczny państwa niemieckiego do Rosyi.

W takim razie jednak niemożliwą jest całkowita separacya spraw polityki zewnętrznej i wewnętrznej, oddanie kierownictwa jednych i drugich niezależnym zupełnie od siebie organom rządowym. Przy wielkim takcie odpowiednich ministrów można na czas pewien uniknąć zatargów. Lecz i to, wtedy tylko, gdy sprawy sporne są mniej ważne. Gdy wszakże wstrząsną one najgłębszemi podstawami narodowego życia wtedy już nie ma ratunku. Największy lojalizm w postępowaniu zainteresowanych stron, najlepsze chęci kierowników obu krajów i ich parlamentów rozbijają się o żelazną konieczność biegu rzeczy.

Trudno znaleść poważniej myślące, spokojniejsze i rozsądniejsze narody jak Szwecya i Norwegia. Więzy łączące je są jak najmniej uciążliwe. Pomimo to jednak rozwój wewnętrznych stosunków tych krajów doprowadził je do namiętnej walki, grożącej nawet zbrojnym zatargiem. Szwecya, posiadająca wielką własność, z rozwijającym się przemysłem fabrycznym, hołduje polityce handlowo-protekcyjnej. Norwegia natomiast, kraj na wskroś chłopski, musi ciążyć ku wolnemu handlowi. Prócz tego zarówno przyczyny ekonomiczne jako też i cała historyczna przeszłość tworzyła w Szwecyi silną partyę zachowawczą, pielęgnującą tendencye monarchiczne. Norwegia natomiast, gdzie różnice klasowe są minimalne, jest krajem na wskroś republikańskim. Z biegiem czasu różnice powyższe zaostrzały się coraz bardziej. Konflikty między obu zjednoczonemi państwami mnożyły się wciąż, występując najsilniej w kwestyach polityczno-handlowych; wreszcie sprawa odrębnych konsulatów norwegskich streściła w sobie wszystkie dotychczas nagromadzone namiętności. Na pozór nieważna kwestya doprowadziła już do jak najostrzejszych zatargów i grozi jeszcze gorszemi konsekwencyami. Jedynem, trwałem rozwiązaniem tego sporu, który się dziś na półwyspie skandynawskim toczy, byłoby udzielenie całkowitej niezależności politycznej Norwegii.

Czyż jednak te i inne podobne przykłady miałyby wskazywać na niemożność innego rozwiązania kwestyi narodowościowych, jak jeno drogą zupełnej ich odrębności państwowej?

Tak, bądźmy otwarci i szczerzy. W dzisiejszych warunkach, pod panowaniem dzisiejszej cywilizacyi innego wyjścia nie ma i być nie może.

Połowiczność to grzech pierworodny naszej kultury. Podniosła ona do potęgi najwyższego dogmatu etyki społecznej zasadę narodowościową — a równocześnie stworzyła „Drang nach Osten", „obrusienie", „madjaryzację" i inne podobne dążności szowinistyczne. Wypisała ona na swym sztandarze równość polityczną, a zarazem przyjęła hasła maltuzyanizmu: „świat i jego rozkosze jeno dla bogatych". Ogłosiła ona za pierwszy warunek normalnego życia społecznego powszechne, obowiązkowe wykształcenie, — i w tymżeż samym czasie zrodziła zakazy nauki polskiego języka w Poznańskiem. I tak na każdym kroku. Wszędzie brak konsekwencyi, brak ścisłego stosowania raz uznanych prawd. Ale bo też zrodziła kulturę naszą walka o wolność po to, by innych wolności pozbawić, walka o władzę, by nad innymi panować. Sprzeczność była jej kolebką i cała też ona z setek sprzeczności się składa.

Również i ów dualizm państwowy jest jeno połowicznem rozwiązaniem kwestyi narodowości, a jako takie musi być ono niedostatecznem, musi posiadać zarodki rozkładowe, z których z biegiem czasu coraz gorsze konflikty, coraz ostrzejsze zatargi rodzić się muszą.

Czyż jednak obraz Szwajcaryi nie zatrzyma toku naszej myśli. Czyż kraj ten, w którym trzy większe, a parę jeszcze innych mniejszych grup narodowościowych w zgodzie i spokoju koło siebie żyje, — nie jest żywem zaprzeczeniem naszego poglądu. Nie, bo Szwajcarya nie jest dziś zlepkiem sztucznie połączonych organizmów państwowych, lecz jedną jedyną całością, ukonstytuowaną na zasadach szeroko pojętego federalizmu. Stosunek kantonu do związku w zasadzie niczem się dziś nie różni od stosunku gminy do kantonu. To też od r. 1848, gdy po raz pierwszy na zasadach tych wsparła się konstytucya szwajcarska, przestała być ona związkiem kantonów niemieckich, włoskich i francuzkich, lecz stała się federacyą dwudziestu paru jednostek administracyjnych zamieszkałą przez Francuzów, Włochów i Niemców. I od tej chwili wszelkie rewolucye, wojny kantonów z kantonami ustały raz na zawsze. Ów kraj ciągłych zaburzeń i zamachów stanu — stał się eldorado spokojnych, rozsądnych „b ü r g e r ó w".

A możliwem się to stało tylko dla tego, ponieważ z upadkiem starego patrycyatu wielkich miast szwajcarskich zapanowała była na c z a s p e w i e n stosunkowa przynajmniej równość ekonomiczna a z nią i tolerancya.

Władysław Rabski.

ZWYCIĘŻONY.

Dramat w 4 aktach.

(Ciąg dalszy).

WOLSKI.

Nikt? A Wisłowski? Znasz jego ambicyę i bezwzględność. Gdy te papiery spłoną i brat twój zwycięży, on całemu światu hańbę moją rozkrzyczy. Mamże kłam zadać jemu? Mamże z czelnością patentowanego oszusta wołać: Fałsz! gdy w twarz mi ciśnie słowo „Odstępca"? O! nie, Marto, rumieniec mnie zdradzi.

MARTA.

Znajdziesz wymówkę... Słowo twoje ma wagę olbrzymią... Powiedz, że na zeznania zdziecinniałego starca nie było żadnych dowodów. Powiedz... ja sama nie wiem... ale tobie uwierzą.

WOLSKI.

A sumienie moje? Myśl sama mózg mi rozsadza. Czy ty nie pojmujesz, że sztandar mój jest dla mnie tem i więcej nawet, czem dla ciebie krew, brat i ojciec. Chcesz, bym jak galernik, wypuszczony z więzienia, snuł się z czołem pochylonem po świecie, lękał się ludzi, lękał dnia białego, lękał kamieni przydrożnych. Nie! Jam za uczciwy na kłamstwo i zdradę.

MARTA.

To wasza logika. Jam nie pytała o dumę i uczciwość, gdym ciebie kochać zaczęła, i szłam, ścigana szyderstwem, do twego domu, gdzie mnie upokorzenia czekały. Świat, w którym wyrosłam, szydził z szalonej, a ten inny świat, ten twój świat, urągał hrabiowskiej demokratce. Wszyscy potępili, a jam się nie ulękła, bom w tobie świat mój widziała. Czyż uczciwie było zdradzić ojca i brata? A jednak zdradziłam. Za dom, w którym lata dziecinne spędziłam, za przyjaciół, którzy mnie ubóstwiali, za przekleństwo ojca i brata, za udręczenia, których w tym nowym świecie doznałam, za to wszystko, com opuściła dla ciebie, mnie się nagroda należy.

WOLSKI.

Hańby żądasz. To za droga cena.

MARTA.

Ty musisz mnie wysłuchać.

WOLSKI.

Miej litość! Nie mogę.

MARTA *(chwyta go za rękę).*

Zygmuncie! Ja równie dziś ciebie kocham jak wończas, gdy przed ołtarzem szeptałam słowa przysięgi. Lecz nie rozdzieraj serca, bo krew jego zalać gotowa iskry miłości. Kocham cię, o! bardzo kocham, ale pamiętaj, dziś krok tylko od nienawiści mnie dzieli. Jestem żoną, to prawda, lecz córki i siostry nie zabijesz we mnie.

WOLSKI.

Puść mnie! Oszaleję chyba. To nie do mnie należy, *(potrząsa pliką papierów)* to dla ludu, to dla nich.

MARTA.

To dla mnie! Czyż ja już niczem nie jestem dla ciebie?

WOLSKI.

Ty sama nie wiesz, co czynisz. Odstępstwo moje byłoby chmurą dla szczęścia naszego, piołunem dla każdej pieszczoty. Upiór hańby stanąłby między nami i dniem bez słońca stałoby się życie.

MARTA.

Dobrze więc! Zatruj ostatnie chwile ojca mojego i katem stań się dla brata. Ale te dwie ofiary rozdzielą nas na zawsze i nic już nie złączy więzów starganych... nic! *(wybucha płaczem spazmatycznym).*

WOLSKI.

Nie błagaj łzami! Nie błagaj!

(chwila milczenia.)

MARTA.

Nie! ty nie odepchniesz *(zbliża się do niego)*. Słuchaj! Ja ci coś powiem najdroższy *(półgłosem)*. Dziś już nie żona tuli się do ciebie, to matka dziecka twojego.

Wszelkie bowiem tendencye uciemiężania, podbijania, tylko w materyalnych warunkach, w przewadze jednych warstw gospodarczych nad drugiemi źródło swe mieć mogą. Duchowych, etycznych przyczyn ujarzmiań, prześladowań jednych grup kulturnych przez drugie nie ma i być nie może. To też razem ze zmniejszeniem różnic ekonomicznych ustały i wszelkie dążności eksterminacyjne w zakresie życia kulturalnego.

Dla reszty Europy chwila taka jeszcze nie nadeszła. I dla Szwajcaryi minęła dziś ona na długi czas bezpowrotnie.

Nie będziem się wdawać w przewidywania przyszłości, czy i kiedy cała Europa ukonstytuuje się w jednę federacyę na wzór szwajcarskiej. Wiemy tylko jedno z pewnością, że, jeśli to ma kiedy nastąpić, możliwem będzie wtedy tylko, gdy zanikną wszelkie nietolerancye i prześladowania jednych kultur przez drugie. Póki zaś czas ten nie nadszedł jeszcze rozwiązaniem narodowościowych pytań może być jedynie zupełna niezależność państwowa narodowościowych organizmów.

Usuwając przytem jedną z tak licznych dziś połowiczności — tem samem toruje ona drogę dla rozwiązania wszystkich tych antynomii, które dzisiejsza cywilizacya w sobie kryje.

Str.

Przegląd prasy polskiej
zaboru pruskiego

O trzecim zjeździe katolickich nauczycieli Księstwa, mającym się odbyć w Poznaniu w dniach 3, 4 i 5-go czerwca r. b. taką wypowiada opinię „Dziennik Kujawski“ w Nr. 116:

„Język polski uwzględniony będzie tylko w nieurzędowej części programu, w urzędowej natomiast wyłącznie niemiecki. Niektóre z naszych gazet, zgorszone tem upośledzeniem polskiej mowy, wskazują na to, że Zjazd jako rzecz prywatna nie podlega przepisom ustawy o języku urzędowym z 1876 roku. Podział obchodu na część oficyalną i nieoficyalną mienią one przeto rzeczą zupełnie chybioną i domagają się używania polskiego języka we wszystkich czynnościach Zjazdu i na cały czas jego trwania od początku do końca.

Żądanie to jest nietylko w zasadzie, ale i formalnie słusznem. Zważywszy atoli drakońskie prądy dzisiejszej chwili, godzące z całą bezwzględnością w przedstawicieli szkoły polskiego pochodzenia z jakiegokolwiekbądź tytułu, nie sądzimy, aby pominięcie niemieckiego języka na Zjeździe było rzeczą fortunną. Przezorność jest w każdem położeniu cnotą wielkiej wartości, w smutnych zaś warunkach, w jakich nauczyciele polscy obecnie pozostają, ma ona wartość podwójną. Domagać się od bezbronnych i w kleszcze ujętych ludzi junakieryi — to jest występ nie bardzo pochwały godny.

Artykuły „Gazety Grudziądzkiej“ w sprawie germanizacyjnych zakusów duchowieństwa katolickiego na Warmii i w Prusach Zachodnich, spowodowały „Kuryera Poznańskiego“ do utyskiwań na brak uszanowania wobec kapłanów ze strony pisma polskiego.

Uwagi „Kuryera“ wywołały ze strony „Gazety Grudziądzkiej“ następującą odpowiedź w Nr. 61:

„Obecnie mamy dosyć tego milczenia! Pokażemy, że pismo polskie może być szczere katolickiem, a swoją drogą może napiętnować każde nadużycie duchownych germanizatorów. To zresztą jest świętym obowiązkiem każdego uczciwego pisma katolicko-polskiego, bo nie na to ono istnieje, aby napełniać pieniędzmi kieszenie swego wydawcy, lecz na to, aby stać na straży naszych skarbów religijnych i narodowych, które przez germanizacyą w równej mierze są zagrożone.

Uważamy też, że koniecznie rzeczy po imieniu nazwać musimy. Gwałci ktoś np. nasze prawa narodowe, to jesteśmy zobowiązani, dokonany jego czyn nazwać „gwałtem“, a gdy dotąd o takiej działalności nie słyszeliśmy, powiemy, że to „niesłychany gwałt“. Trudno przecież dla tego, że ten ktoś będzie przypadkowo osobą duchowną, powiedzieć, że gwałt nie jest gwałtem.

Takiem postępowaniem czytelników naszych z pewnością nie zgorszymy, a postaramy się o to, że powodów do skarg będzie coraz mniej, co sprawie wiary naszej świętej tylko na korzyść wyjść może.“

Z powodu procesu sztumskiego takie wypowiada zdanie w Nr. 62 „Gazeta Grudziądzka“:

„Echa wypadków sztumskich nie powinny przebrzmieć bez dodatniego skutku, sprawy sztumskiej nie wolno nam popuścić, powinna ona się, jak to już raz wspominaliśmy, oprzeć o tron samego Ojca św.

Sprawą tą nie może się naturalnie zająć żaden z czcigodnych naszych duszpasterzy, powinien się nią zająć człowiek świecki. I nie dosyć wedle naszego zdania wszystko tylko pospisywać, lecz należałoby koniecznie zwołać wiec, na nim wypowiedzieć wszystkie żale i skargi i sprawozdanie z tego wieca posłać do Papieża.

Niech ten Ojciec nasz święty usłyszy jęk, łkanie polskiej piersi, tej piersi, która przez całe wieki była przedmurzem chrześcijaństwa, która przez całe wieki zasłaniała naszych współwyznawców na zachodzie od najazdów pohańców.

Niech ten Ojciec nasz najukochańszy się dowie, że dziś godzą w tę pierś ci, którzy powołani do kojenia ran, zadanych jej przez niegodziwość ludzką, i niech osądzi, czy godzi się tak z nami postępować, a jesteśmy przekonani, że Ojciec św. łaskawie wejrzy na okropne nasze położenie i obmyśli ulgę dla naszych cierpień“.

„Dziennik Poznański“ zamieścił korespondencyą z Berlina, z której dowiadujemy się, że Koło polskie odrzuciło na ostatniem posiedzeniu swojem wszystkiemi głosami przeciw jednemu wniosek posła Głębockiego o zerwanie z zasadą bezwzględnej tajności obrad. W tej sprawie zamieścił „Goniec Wielkopolski“ (Nr. 121) obszerny artykuł, z którego cytujemy następujące ustępy:

„U nas nie obiera jeszcze posłów społeczeństwo — lecz mianuje ich grono notablów z większym lub mniejszym odłamem popleczników swoich. Dla tego tak mało mamy prawdziwych przedstawicieli ogółu, a tak wielu posłów honoris causa, którzy bez rzeczywistych zasług, bez aprobaty narodu funkcye poselskie wykonują, nie mając często nawet do tego potrzebnych kwalifikacyi — a pewni protekcyi notablów i części prasy, nie poczuwają się nawet do obowiązku zdawania sprawozdań wobec swych wyborców.

. . . .

„Każdy nieuprzedzony widzi, że Koło sejmowe odgrywa tu rolę dyktatora. Wolno nam wybierać posłów, ale nie wolno nam się w to mięszać, co oni robią, jakie żywią przekonania — i czy zasługują na to, abyśmy ich powtórnie obierali.

My nie domagamy się bynajmniej rzeczy niemożliwych, nie chcemy być areopagiem dla Kół naszych poselskich, lecz żądamy, abyśmy o rzeczach zasadniczych mieli dokładne referaty — chociażby po załatwieniu sprawy w parlamencie lub sejmie — żądamy, aby nam komunikowano, jakie posłowie nasi poszczególni zajmowali stanowiska wobec spraw dotyczących całego ogółu polskiego.

. . . .

„W końcu zapytujemy: czy posłowie, pp. Jerzykiewicz i dr. Mizerski byli obecni na posiedzeniach, i dla czego ewentualnie głosowali przeciwko wnioskowi?

Ci dwaj panowie byli obecnymi na zebraniu wyborców miasta Poznania, powinni zatem byli przejąć się uczuciami obywateli, którzy jednogłośnie, bez opozycyi uchwalili rezolucyą do Kół polskich z prośbą o jawność w obradach — należało im być tłomaczem tych uczuć, tem więcej, iż poseł p. dr. Mizerski oświadczył na zebraniu, że reforma w sprawie jawności obrad jest mu bardzo sympatyczną i że życzenia nasze przedstawi kolegom w Berlinie.

Albo więc posłowie Jerzykiewicz i Mizerski w Berlinie nie byli, albo też ostatni z nich zapatrywanie swe zmienił i wniosku posła Głębockiego nie poparł.

Przyszłość to wykaże. Tymczasem czekajmy na to, co nam Koło sejmowe odpowie na naszą rezolucyą. Że przychylną nam ta odpowiedź nie będzie, o tem wiemy już po przyjęciu wniosku księdza Wawrzyniaka.

Tyle dzisiaj jednak z góry już da się przewidzieć, że do przyszłych wyborów musimy się należycie przygotować, aby nie obierać więcej posłami ludzi, którzy albo nas nie rozumieją, albo też zrozumieć nie chcą. Większość członków tak Koła parlamentarnego, jako i sejmowego — przykro nam to wyznać — zaufania naszego dzisiaj już nie posiada. Zawczasu tedy oglądajmy się za innymi posłami, bo z wyjątkiem grona mężów rzeczywistej zasługi i stałych demokratycznych przekonań, mamy w Berlinie manekiny, które może umieją rozróżnić krokodyla od aligatora — o zadaniu pracy i obowiązkach posła jednak nie mają pojęcia“.

Pod tytułem „Mieszczaństwo miasta Poznania“ zamieszcza „Orędownik“ następujące uwagi:

„Weźmy wystawę samą. Wobec całego mieszczaństwa m. Poznania stanęło pytanie: jak się postawić? Rozumiemy bardzo dobrze, że bardzo zachęcającą rzeczą nie jest przesiadywać wieczory na posiedzeniach Towarzystw i patrzeć na ich robotę mrówczą i jednostajną, dla tego zmudną i nieraz nudną. Wystawa jednak podawała materyał specyalny. I też nic nie zrobiliśmy i nie zdobyliśmy się choćby na jedną schadzkę w którym z tych hoteli, do których jednak idziemy po ukazie, gdy nas menerzy z warstw wyższych ztrąbią. Przy

---

WOLSKI (*chwyta ją namiętnie w objęcia*).
Co?... Marto!

MARTA.
Zygmuncie! Dziś rano matką się poczułam.

WOLSKI.
Ptaku mój biały... jedyna!

MARTA.
Uczyń to dla dziecka naszego. Spal te dokumenty.

WOLSKI (*chwyta się za głowę*).
A!

MARTA.
O! nie odtrącaj Zygmuncie!

WOLSKI.
Czemu ty mnie tak męczysz? Oszaleję chyba.

MARTA (*stara się wydrzeć mu papiery*).
Spal te straszne papiery. Spal je, Zygmuncie.

WOLSKI (*słabnąc*).
Spalić... spalić... to straszne słowo.

MARTA.
Puść te papiery! (*wskazuje na kominek*) Tam... niechaj giną.

WOLSKI (*błagalnie*).
Marto! Marto!

MARTA.
Tam... tam... (*wiedzie go ku kominkowi. Wolski postępuje jak senny*). Puść, puść, to dla mnie, dla twojego dziecka (*usiłuje wydrzeć mu papiery*).

WOLSKI (*opiera się chwilę, następnie wypuszcza z ręki dokumenty.*) Zabij mnie!
(*w drzwiach staje Kostecki*).

MARTA (*radośnie*).
A! (*wrzuca papiery w ogień*) Tak! niechaj giną.

Scena IX.
Ciż i Kostecki.

KOSTECKI (*biegnie ku kominkowi.*)
Co się tu stało?

WOLSKI (*z przestrachem*).
To ty?

KOSTECKI.
Przychodzę po artykuł i testament Ruszczewskiego. Drukarze czekają przy maszynach (*chwila milczenia*).

MARTA.
Artykułu nie będzie. Niech pan rozpuści drukarzy.

KOSTECKI (*ostro*).
Żądam dokumentów. Córka Wareckich przecież nie rządzi Trybuną.

MARTA.
Panie Kostecki! Hamuj pan słowa swoje.

KOSTECKI.
My tu prostacy, nie uczeni jedwabnych zwrotów. Mówimy tak jak sumienie każe. — Panie redaktorze! żądam nie *twojej*, lecz *naszej* własności.

WOLSKI (*słabym głosem*).
Później... później... nie teraz.

KOSTECKI (*groźnie*).
Co? później? Gdzie są dokumenty?
(*chwila milczenia*).

WOLSKI (*z wysiłkiem*).
Tam! (*wskazuje na ogień*).

KOSTECKI.
Co? (*chwyta go za ramię*). Więc to prawda? Co uczyniłeś? Mów?

MARTA.
Listy były oszczerstwem, papiery sfałszowane.

KOSTECKI.
Mnie to mówicie? Mnie? Więc Trybuna zdradzona! Więc lud zaprzedany! (*do Wolskiego*) Podły! po trzykroć podły! (*wybiega*).

Scena X.
Wolski i Marta.

WOLSKI (*budząc się z odrętwienia*).
Co to było? Podły? (*wydaje przeraźliwy okrzyk boleści i rzuciwszy się w fotel pochyla głowę nad stołem, kryjąc ją w dłoniach*) Marto! Marto!

MARTA (*klęka u stóp jego.*)
Jedyny! odwagi!

WOLSKI (*podnosi się i znów zmęczony pada na fotel*).
Marto! Zabiłaś!

(Kurtyna spada).

ostatniej walce politycznej w Poznaniu po jednej i po drugiej stronie poświęcono bardzo wiele czasu, pracy i pieniędzy i starczyło nas na to; na zabranie się, celem narady nad wystawą nie poświęciliśmy nic, bo brak w Poznaniu warunków sił do wspólnego choćby chwilowego zebrania.

Weźmy Zjazd Przemysłowców, który się odbędzie niebawem w Poznaniu w lipcu. Prace przygotowawcze już są w biegu i obok Wydziału prowincyonalnego pracuje komitet lokalny na miejscu. Jak my się obywatele miasta Poznania wobec tego prezentujemy. Ciekawe tu widzimy zjawisko. Na czele Wydziału stoi — ksiądz; na czele komitetu lokalnego — ksiądz, w sprawach przemysłowych i w calem Poznaniu nie można znaleść dwóch ludzi, którychby można na te stanowiska postawić. Obaj księża oponowali przeciw temu wyborowi, sami wykazując niestósowność jego; ale lekarstwa na to nie było. Tajemnica tego wyboru leży także w tem, że przy komitecie lokalnym zwolennicy ruchu ludowego z swego grona nie chcieli wybierać prezesa, żeby bez potrzeby nie mieszać spraw społecznych z polityką; byliby chętnie wybrali kogoś z po za grona swego, ale niestety w którą stronę okiem się rzuci po za ruchem ludowym, tu w Poznaniu spotka się prawie zawsze zwyczajnego piona partyi dworskiej, albo kandydata na piona, bardzo rzadko kupca lub przemysłowca z głową i sercem na miejscu, który znowu z innych powodów sam się cofa. Więc z tej biedy postawiono — księdza!

Cośmy warci w Poznaniu!

Powiedzmy sobie otwarcie, żeśmy po trosze wszyscy winni; że brak nam sił, brak lepszego, jaśniejszego rozumienia rzeczy, brak nam ducha, tej iskry Bożej, co to z człowieka tworzy prawdziwego człowieka, brak nam przedewszystkiem ambicyi obywatelskiej.

Jest w Poznaniu ruch ludowy jak na początek chwała Bogu dość silny, który swą politykę buduje wyraźnie na fundamencie ekonomicznym. Jest małe gronko inteligencyi wyższej, która przez „Przegląd Pozn." z wielkiem poświęceniem mężnie i dzielnie szerzy zdrowe, postępowe poglądy w sprawach publicznych. Jest w Poznaniu drobny zastęp kupców i przemysłowców, bardzo inteligentnych, rozumiejących doskonale swoje obowiązki zawodowe i obywatelskie. Ich obowiązkiem w społeczeństwie jest tworzyć kapitały. Nikt nie będzie od nich żądał, żeby się rzucali w politykę i rychło rujnowali. Ale mogli i powinni zrobić - i to agitować, żeby innego ducha i inne poglądy w swoje sfery wprowadzić, żeby w swych sferach ambicyą obywatelską wywołać, której nie ma. To jest rzeczą konieczną, a wtedy dopiero, operując oddzielnie na tych trzech punktach, możemy ruszyć bryłę i mieszczaństwo nasze wprowadzić na rozsądne tory spraw ekonomicznych i politycznych".

Przegląd prasy słowiańskiej.

Organ panslawistów słowiańskich wychodzący codziennie we Wiedniu „Parlamentär", pisze p. t. „Ein Slavenkongress", co następuje:

„Działając solidarnie, potrafi nawet nieliczna partya osięgnąć ważne rezultaty. Jak pożyteczną byłaby solidarność wielkiego organizmu, w którego skład wchodzą całe narody! Ta rzecz prosta już od dawna prowadzi nas do genezy idei kongresu słowiańskiego.

„Idea ta, gdyby ją praktycznie i zręcznie uchwycono, miałaby następstwa doniosłe, zrozumiana powierzchownie jako demonstracya jest ona bańką mydlaną, która szybko powstaje i szybko ginie.

Proste prawo asocyacyi sił wskazuje na myśl porozumienia się gruntownego pomiędzy Słowianami austryackimi, zmysł samozachowawczy uczy nas tego samego, wszystkie nasze niepowodzenia parcyalne przypominają nam ją ustawicznie.

„To porozumienie powinno być zupełne, powinno spoczywać na fundamencie niewzruszonym, z tej racyi więc należy mu przygotować drogę, określić granice ściśle, a potem działać konsekwentnie.

„Często podnoszono myśl kongresu słowiańskiego, atoli wykonanie tego zamiaru stawały na drodze niemałe przeszkody. Pora ku temu nie nadeszła jeszcze. Przesłanek należytych, gwarantujących powodzenie nie było. Dla tego też dobrze się stało, iż kongresu nie zwołano, że zamiar *in suspenso* pozostawiono. Idea największa rozbija się częstokroć pojęta połowniczo i nie w porę. Sytuacya musi się wpierw wyjaśnić należycie, jeżeli ma powstać zaufanie niezbędne ku działaniu.

„Dziś pozbyliśmy się wielu iluzyi, jedno tylko stało się pewnikiem: w pojedynkę idąc, niczego nie wywalczymy, potrzeba nam działania solidarnego.

Rząd dziś również stanowisko swe zmienił. Przekonał się dowodnie, iż uboczne układy z jedną lub drugą narodowością są zapychaniem tej lub owej dziury, gdy innemi woda dalej się leje. Rząd musiał nabrać przekonania, że potrzeba stworzyć całość harmonijną, usunąć krzyczące krzywdy jednej narodowości, ograniczyć przywileje drugiej.

„Również narodowości poszczególne muszą przyjść do przekonania, iż jest niezbędnem wzajemne zagwarantowanie sobie praw językowych.

„Idei słowiańskiej nie było dotychczas danem okazać się, iż jest czynikiem cywilizacyjnym, że właśnie świeżość ducha i wytrwałość rasy naszej są odpowiednim kitem budowy państwowej i najlepszą rękojmią zgodnego pożycia różnych narodowości.

„Działając w tym kierunku miałby kongres słowiański wszelkie dane wypadku dziejowego, stworzyłby dzieło, któreby zdołało oprzeć się burzom najgwałtowniejszym.

„Zadaniem głównem, ideą przewodnią kongresu będzie więc rozwój pokojowy wszystkich narodowości monarchii austro-węgierskiej.

* * *

„Bukowinski Widomosty" organ partyi staroruskiej na Bukowinie tak pisze w artykule wstępnym zatytułowanym „Tretij Maj" (Trzeci maj):

„Trzeci maj jest dniem jaśniejszym w historyi ruskiego ludu.

„Dzień ten jest pamiątką drogą wolności ludu po wiekowej ciężkiej niewoli. Powinien on rozgrzewać serce chłopskie nadzieją lepszej przyszłości, jeżeli chłop nasz pójdzie śmiało naprzód, a dla całej inteligencyi niechaj będzie trzeci maj zachęceniem ku nieustającej walce, podjętej dla dobra młodszego brata. Inteligencya ta niechaj pamięta, że chłop ruski to cały naród, że pracując dla ludu, pracuje dla narodu. Wyraz naród i lud mają u nas jedno znaczenie. Rusin ubrany po miejsku nie był nigdy swojemu ludowi panem, owe „państwo" zaczyna się u nas wyrabiać w ostatnim czasie, licząc zapewne na to, że ujarzmić zdoła lud ciemny i nieoświecony. Oni to burzą lud nasz przeciw cerkwii i duchowieństwu, które przez wieki były stróżami moralności ludu ruskiego."

* * *

Słowackie „Narodnie Noviny" piszą p. t. „O veljkom nieszťjasti naszich deti":

„Rok szkolny zbliża się ku końcowi. Dla rodziców, żyjących w innych organizmach prawno-politycznych jest decydującem o ich zadowoleniu, gdy dziecko dobrze się uczy. Tego u nas nie ma. Tak, czy owak wiemy o tem, że dzieci słowackie do szkół uczęszczające są ofiarą systemu wynarodowienia, że ich się tam pozbawia tego, co każdemu człowiekowi jest najświętsze i najdroższe.

„Dziecko słowackie, chodzące do szkoły, oddane jest na pastwę madziaryzacyi, wrzucone do istnego piekła fałszu, kłamstwa i mąk duchowych. Słowackie dziecko na progu szkoły traci język macierzysty. Staje się tam przedmiotem szyderstwa, prześladowań, — język ojczysty jest mu balastem, powodem utrapień i biedy. Jedynym nielicznym wyjątkiem są u nas szkoły t. z. konfesyjne katolickie lub ewangielickie, ale tam tylko, gdzie nauczyciel jest człowiekiem dobrym i rozumnym, wiernym swojemu posłannictwu. W szkołach państwowych wśród ludności słowackiej idzie wszystko, od elementarza począwszy, po madziarsku. Nie ma w tych szkołach jedynej książki słowackiej. Dziecku odjętem jest pojęcie, że w języku macierzystym można czytać i pisać. Zatruwają naszym dzieciom pogląd na świat i życie, koszlawią jego młody rozum, zamykają duszę w klatce języka cudzego, pamięć przeciążają balastem wokabuł pustych, niezrozumiałych i zimnych, jak wiatr lecący nad gołem ścierniskiem.

Akt IV.

(Scena urządzona tak samo jak w akcie trzecim. W chwili podniesienia kurtyny zapala służąca lampę. Marta wchodzi drzwiami frontowemi w futrze i kapeluszu)

Scena I.

Marta i Frania.

MARTA.

Pan wrócił?

FRANIA.

Nie! proszę pani.

MARTA *(rozbiera się nerwowo)*

Byłaś w redakcyi?

FRANIA *(pomagając przy rozbieraniu)*.

Kwadransu nie ma jak wróciłam, ale pana nie znalazłam. Ludzi tam co nie miara, bo to wczoraj podobno było głosowanie, a każdy ciekawy, kogo wybrali. Co też to ludziom przyjdzie z takiej ciekawości? Jeszcze zimno i wiatr, że psa litość bierze wypędzić, a to zębami szczęka i na dworze czeka.

MARTA.

Listów nie ma?

FRANIA.

Jest jakaś kartka z redakcyi i list od pani Wadyńskiej.

MARTA.

Gdzie list? *(Frania bierze list z biurka i podaje Marcie. Marta rozdziera kopertę i czyta:)* „W tej chwili wróciłam z Wapnowic. List twój przeraził mnie do głębi. Przyjdę o godzinie 7. Melanja." *(rzuca list na stół)* Która godzina?

FRANIA.

Siódma dochodzi.

(Słychać dzwonienie.)

MARTA.

Melanja! *(do służącej)* Idź, otwórz.

(Frania wychodzi.)

MARTA *(sama)*.

Nie wrócił... Tu coś strasznego się dzieje.

(Wchodzi Melanja.)

Scena II.

Marta i Melanja.

MARTA.

Jesteś przecie. *(ściskają się)* Wiesz z listu mojego o wszystkiem. Dom cały w gruzy się rozpada.

MELANJA.

Czy Zygmunt w domu?

MARTA.

Nie jeszcze. Wyszedł w nocy i nie wrócił dotychczas. A wygląda tak dziko... milczący i ponury. Nie wiem, o czem on myśli, ale strach mnie ogarnia. Mów ty do niego, błagaj, ratuj!

MELANJA *(w rozdrażnieniu)*

Zawsze to samo! Ja władzy nie mam. Wiecznie was łączyć i wiecznie wiązać to, co w końcu zerwać się musi!

MARTA.

Nie mów tak! Sama już nie wiem, co się ze mną dzieje. Jakiś wicher porwał mnie w wir piekielny i nic już nie widzę, tylko strach, strach... ratuj nas Melanjo! ratuj go dla mnie!

MELANJA.

Dla ciebie? *(śmieje się przymusowo)* Czy może dreszcz miłosny sen ci odbiera i tęsknisz za panem Zygmuntem? *(z ironią)* Dobrze! Zaprowadzę go tam, *(pokazuje drzwi na prawo)* do ciepłego gniazdka, a potem cichutko stanę pod drzwiami i słuchać będę szmeru pieszczot waszych. Ja siostrzyczka dobra... ja anioł stróż! *(śmieje się)*

MARTA.

Com ja ci zawiniła, Melanjo? Ty inną jesteś jak dawniej. Mówisz tak dziwnie i tak dziwnie patrzysz. Wszyscy opuszczają, a on jak duch snuje się po nocach i taka straszna cisza dom ten zaległa, — to śmierć!

MELANJA *(z nagłym przestrachem)*

Śmierć? Co ty mówisz?

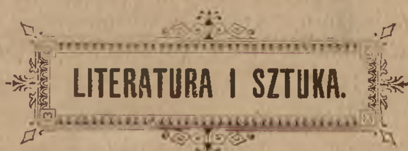
MARTA.

Od owej chwili słyszałam nieraz jak godzinami krążył po pracowni a nocą z domu wybiegał, choć wicher dął i skowyczał. Czasem w rozpaczliwej pieszczocie szyję jego oplotłam i ręce całowałam pokornie, a on bezprzytomnie powtarzał: „Zabiłaś!" Nic więcej. Zrozpaczona i samotna, nie wiedząc, co począć, napisałam do ojca...

A potem idą w tem kłamstwie i fałszu dalej. Kiedy język przestaje być przeszkodą, kiedy dziecko nauczy się mowy cudzej kosztem przyrodzonych zdolności duszy, wówczas fałsz i kłamstwo wstępuje na stopień drugi, rozpoczyna się systematyczne odłączanie dziecka od narodu, od języka i poczucia narodowego. Jestto istotnie kradzieżą dusz i sumienia, jestto kradzieżą hurtowną.

„Wiele cierpieć musimy, wiele musi znosić lud słowacki goryczy, poniżenia i krzywdy. Były czasy, gdyśmy Słowacy gromadnie ponosili męczeństwo, gdy nas więziono, bito pałkami, wieszano, wypędzano. Wielu z nas traciło urzędy, chleb i cześć. Jednakże największymi męczennikami, najsroższemi ofiarami madziarskiej nietolerancyi i okrucieństwa są nasze dzieci słowackie.

„Każdemu z nas drogie i miłe wspomnienia lat dziecinnych, — wspomnienia te są punktem wyjścia jaśniejszych na życie poglądów w wieku późniejszym. Nasze dzieci słowackie tych wspomnień mieć nie będą, bo im zatruły je madziarski szowinizm, upokorzenia i męczeństwo...“ *D. K.*



Majowe bzy.

Wieczór na niebie rozpostarł zmierzchy
I ginie słoneczny skraj,
Szarzeją sosien strzępiate wierzchy,
I maj na świecie,
Maj! Maj!
Rzucił na łąki barwne kobierce
I w szumach rozbudził gaj
I zbudził w piersiach uśpione serce,
Rozkoszny, okrutny maj!
Cisza w powietrznej zaległa toni,
Jak duchy białe mkną mgły,
Pełno świeżości i pełno woni
I wieją w około bzy.
Jakaż to piosnka gdzieś się odzywa?
Czy trwożny w gęstwinie ptak?
— To echo wspomnień dalekich śpiewa
Tak dziwnie i tęskno tak.
Ktoś na mnie woła dawnem imieniem,
Biedzże, czy cofnąć się mam?
— Nie! to plusk fali, rwącym strumieniem
Ginącej w przepaści tam!
Czuję dotknięcie znajomej dłoni
I naraz zbrakło mi tchu. —
— To lecą kwiaty dzikiej jabłoni,
Lecą i więdną na mchu. —
Za wodą pęki rosną wierzbiny
A w wierzbach — tyżeś to ty?! —
Płowe warkocze młodej dziewczyny,
W warkoczach wonieją bzy.
I poza mglistym, poza obszarem
Tych dwojga rzuca się cień,
Idą dłoń w dłoni, pod wiosny czarem,
W powiewie majowych tchnień.
— Nie! to srebrzysty promień miesiąca
Na złotej wierzbie się wprządł,
To wiatr gałęźmi w cieniach potrąca,
— Ów bez — tak dawno już zwiądł!
— — — — — — — — — — — — —
Potok się dzierzga światłem w oddali,
Na nim gwiazd bladych lśni rój,
Łódź płynie wartko po bystrej fali,
— Znikła —
Jak maj zniknął mój!

z Rekowskich
Felicya Szamowska.

Sąd Piotra Chmielowskiego o dwóch poetach wielkopolskich.

Świeżo ukazało się w Petersburgu nowe dzieło Piotra Chmielowskiego p. t. „Współcześni poeci polscy“. W przekonaniu, że sąd znakomitego historyka literatury zainteresuje czytelników naszych, podajemy z dzieła tego, które uwzględnia tylko lirykę i epikę (o pisarzach dramatycznych autor zamierza osobną napisać rozprawę) *in extenso* dwa ustępy, dotyczące poetów zrodzonych i wychowanych w W. Ks. Poznańskiem:

I. *Józef Kościelski.*

Józef Kościelski znany był w literaturze naszej przed r. 1883 z dwu dramatów historycznych, ogłoszonych w roku 1874: „Władysław Biały“ i „Arria“ potem dał się poznać z kilku sztuk, które w teatrze cieszyły się powodzeniem; to też łatwo zrozumieć przykrość, jaką czuć muszę, gdy mi o poezyach jego wydanych w Krakowie 1883 jako tom pierwszy, niepochlebne zformułować wypada zdanie.

Na karcie tytułowej tego tomu zaznaczył autor dwudziestoletni przeszło okres twórczej działalności swojej (rok 1861—1882), a zatem przedstawił się ogółowi nie jako początkujący, ale jako dojrzały już pisarz, z tą pewnością siebie, którą daje rozgłośne imię. Tymczasem w utworach tych roją się niedorzeczne pomysły, nielogiczne wyrażenia i niesłychanie liche rymy... Czytelnik musi tedy zadać sobie pytanie: czy autor obdarzony jest niepraktykowaną już dzisiaj naiwnością, czy też chciał zadrwić z łaskawych nabywców jego książki?...

Ażeby takie postawienie kwestyi nie wydało się impertynencyą zrobioną zdolnemu pisarzowi, proszę odczytać ustęp z „Dziejów serca“ na str. 175 i następnych.

Na tysiąc kwiatów,
Na ludzi sto (!)
Czyż jest wśród światów
Szczęśliwszy kto?

Dzisiaj jej miłość wyznałem:
Ona odrzekła: wiem o tem;
A gdy jej serca pytałem,
Odpowiedziało stukotem!

Albo proszę zauważyć nadzwyczajną skromność autorską w „Dedykacyi“ oraz dobór wyrażeń:

Żądano, abym śpiewał. Powiodłem marzeniem
W kraje wieczystych złudzeń; myśl trysnęła z czoła...
Myśli biły jak źródło, a jak potok słowa...
Com mówił, już nie pomnę, bom wduszył się cały.
W kraj, gdzie, między młodzieńczej pieśni
ideały

MELANJA.
Do ojca?

MARTA.
Tak. Opowiedziałam wszystko, o strasznym testamencie Ruszczewskiego, o poświęceniu Zygmunta i błagałam o przebaczenie, litość dla mnie, o pomoc, o kroplę miłości. Wysłuchali mnie, nie odepchnęli. Odebrałam wiadomość, że dziś wieczorem przybędą do miasta. Tak! oni przyjdą za chwilę, przycisną do serca, ale on... on... Melanjo! mów! co uczynić? Dzień cały szukam go napróżno.

MELANJA.
Byłaś w redakcyi?

MARTA.
Byłam dwa razy. Powiedziano mi, że Zygmunt ranną godziną wpadł na chwilę do biura, przerzucił depesze i rozporządził, aby mu ostatnie cyfry wyborcze tu do mieszkania przysłano. Potem zlecił redakcyę jednemu z pomocników i wyszedł. Był podobno bardzo blady. Wieczorem posłałam Franię raz jeszcze do Trybuny, a sama pobiegłam do księgarni Krausego, gdzie nieraz długie spędzał godziny. Naprózno! Był tam w południe, zapłacił rachunki i zniknął.

MELANJA.
Zapłacił rachunki? (*zamyśla się*) Co on zamierza?

MARTA.
Ciszej! Ktoś drzwi otwiera. To on! (*Biegnie ku drzwiom frontowym. Na scenie ukazuje się Wolski z włosem potarganym, w płaszczu zmoczonym i zmiętym.*)

Scena III.
Marta, Melanja, Wolski, w końcu Frania.

MARTA (*zarzuca mu ręce na szyję*)
Zygmuncie! nareszcie! (*tuli się do niego i płacze*)

WOLSKI (*rozplata jej ręce*).
Uspokój się. (*zdejmuje płaszcz i zwraca się do Melanii*) A! pani tutaj.

MELANJA (*podając mu rękę*).
Tak dawno nie widziałam pana.

WOLSKI (*bezdźwięcznie*).
Dawno... tak! bardzo dawno. Godzina wiekiem jest nieraz.

MARTA (*całuje go*).
Niedobry! opuściłeś mnie, a ja dzień cały łzami się karmiłam. Lecz teraz przy mnie zostaniesz, nieprawda, Zygmuncie?

WOLSKI (*odsuwa ją lekko*).
Są listy jakie?

MARTA (*smutnie*).
Jest kartka z redakcyi... tam na biurku.

WOLSKI (*biegnie do biurka i czyta*).
„Wisłowski 5200, Warecki 6400. Brak jeszcze czterech obwodów. Doniesiemy telefonicznie“. (*rzuca kartkę i mówi do siebie:*) 5200 i 6400. (*do Marty:*) Czy telefonowano z redakcyi.

MARTA.
Nic nie słyszałam. (*zbliża się do niego*) Zostaniesz na herbacie, nieprawda? Zobaczysz! (*sili się na ton wesoły*) Zgotowałam ci niespodziankę. Dziś nowe słonko dla nas zabłyśnie.

WOLSKI.
Gdyby ludzkie słońca były jak świece... (*zamyśla się a potem nagle zwraca się do Melanii*) Wierzaj mi Pani! Lepiej być kretem. Takie robaki śpią spokojnie. A my? Serce pęka w kawały. Pozbieraj drzazgi, spój je w całość jedną, a zawsze szczerba zostanie i otwarta rana.

(*Słychać gwar zmieszany za oknem.*)

MELANJA.
Co to znaczy? (*biegnie ku oknu*) Tłumy ludzi wracają z redakcyi.

(*Słychać dzwonek przy telefonie.*)

WOLSKI.
A! stało się. (*waha się chwilę, biegnie do telefonu i przykłada do ucha bębenek*) Kto tam?... Co słychać? (*wypuszcza bębenek z ręki i staje chwilę jak martwy.*)

MELANJA.
Czy co smutnego?

WOLSKI (*gorzko*)
Nie, Pani! Zięć i szwagier Wareckich spełnił swój obowiązek. Ciesz się Marto! Nowe słońce wschodzi... brat twój zwycięzył.

(*Wchodzi Frania.*)

FRANIA.
Pan Kostecki i pan Wisłowski.

WOLSKI.
Nemesis!

MARTA.
Nie przyjmuj! Czego oni żądają?

WOLSKI.
Pokuty mojej. (*do Frani*) Proś. (*Frania wychodzi. Wolski zwraca się do Marty i Melanji.*) Zostawcie nas samych.

MARTA.
Zygmuncie... on...

(*Wchodzi Wisłowski i Kostecki.*)

WOLSKI (*do Marty*).
Proszę was... idźcie!

(*Melanja i Marta spoglądają niespokojnym wzrokiem na przybyłych, potem wychodzą drzwiami na lewo.*) (C. d. n.)

Stałaś ty...
Zbudziły mię oklaski. Pierś jak morze wrzała,
Gdy tuli w swe objęcia słońce zachodzące...
Łzę twoją, mojej pieśni świadczącą potęgę (!),
Wymowniej niż oklasków odgłos bezechowy,
O, pozwól, że podejmę jak klucz brylantowy, (Iza kluczem!)
By nim zawrzeć na wieki dziejów serca księgę.

Albo proszę posłuchać następnego oświadczenia się, które chyba w gronie dobrze podchmielonych wygłosićby się dało:

Precz z formami! Tyś kobieta,
Ja mężczyzna — kocham cię;
Wulkanicznych law podnieta
We mnie kłębi, w tobie wre.
Precz z formami! lawą żyłem,
Na wieczności mierząc dnie;
Cóż, że jutro będę pyłem?
Dziś jam bogiem — kocham cię.

Albo wreszcie zajrzyjmy choć na chwilę do kart, mieszczących balladę p. n. „Czary“ i zapoznajmy się z drobnymi jej okruchami, pewni, że i całość w tym samym napisaną stylu:

Rwała ziele
Przy kościele
Na nowiu
I w święconą
Wodę słoną
Je kładła,
Ani cała
Nie zadrżała
Ni zbladła.
W ręku skrzypki
A głos chrypki
Z ołowiu:
„Jam twój miły
Tam z mogiły
W pustkowiu.
„Dziś w mogile
Leżą w pyle
Niegnuśnie...
„W świetle bladem
Szedłem śladem
Gałązek.
„Czary liści
Niech oczyści
Nasz związek“:
I odchodzi,
Lecz zawodzi
Swym smyczkiem.

Nie będę już rozpowiadał czytelnikom ani o owem słowie, co to „gwoździem jest w trumnie marzenia“, ani o rozrzewniającym romansie czajki z ropuchą: dosyć chyba będzie powyższej antologii. Podobne tym wiersze drukował niegdyś ks. Baka dla pokazania, że nie darmo był profesorem poetyki, a potem Soter Rozbicki, spekulując na głupotę ludzką. Lecz jakim sposobem mogły one wyjść z druku w roku 1883?

Ażeby to sobie wytłómaczyć w sensie najprzychylniejszym dla autora, musimy przypuścić, że będąc chłopaczkiem pisywał wierszyki, które się rodzinie podobały; dorósłszy na młodzieńca wypalił raz i drugi zręczny toast, który współbiesiadnikom przypadł do gustu, bo był zastosowany do chwili, nie uspasabiającej, jak wiadomo, krytycznie, a przez to zrobił sobie sławę w kółku najbliższem. Ponieważ zaś życie prowincyonalne wiele wydawać musi ludzi sławnych, więc i tę jeszcze jedną przyjęto chętnie do grona. Przyjaciele i znajomi wpływami swymi wyrobili obiecującemu młodzieńcowi przystęp do redakcyj i starali się przytłumiać głos krytyki: młodzieniec dojrzewał na męża w przekonaniu, że należy do poetów, uznawanych przez milczącą krytykę, zebrał drukowane i niedrukowane rymotwórcze ćwiczenia, napisał na tytule: „Poezye“ i puścił w świat, zapominając o gramatyce, logice i estetyce. Dla utalentowanego młodzieńca przepisy składni są zbyt ciężkie, więc je odrzucił i będzie używał stale przyimka wśród, pośród, prócz z czwartym przypadkiem (noc zgasiła odblaski pośród wałów powoje, prócz zimne światło gwiazd i t. p.), imiesłowu nasycony użyje z 2 przypadkiem (nasycona czczej apoteozy) słów z przeczeniem z 4 przypadkiem itd. Z rymami pozwoli on sobie poigrać, bo od czegoż reforma romantyczna, która rozpętała związanego orła i pozwoliła mu szybować jak zechce; więc też rymować będzie: ludzkość — mózd kość; prawda — prawda, trąd-pień — zwątpień, błąd pić — zwątpić. A ponieważ tęskni „do snów kołyski“, więc z logiką i estetyką nie wejdzie w ścisły sojusz; „pojąc się szelestem prawd“, wplecie „zgrzyt we wieniec cierniowy“, a „bólem w szaleństwo zogromnieje“, lubo „baszt (!) zazdrościć duch nie sięga“, ponieważ w piersi mu „czuwa anioł snów, jak święta od zwątpienia straż i uczy czytać ducha rdzeń“. Nauczony przez „anioła snów“ widzi przed duszą wszystkich tajni głębie“ i swojej „wielkości przed sobą nie tai“, wie nawet, jak się zdaje, „co głaz w kamiennej śni zadumie“. Lecz „anioł snów“ ma widocznie mądrość dziwnego rodzaju, bo oto uczeń powiada, że „by serce mogło się wznieść, musisz je grześć, musisz je zgnieść...“ — niewiast „modłę“ zamyka w trzech słowach: brać, słać (?), dbać (?), gdy męskimi godłami mają być „dać, stać, trwać“.

Rozszerzyliśmy się nad ujemną stroną poezyj Kościelskiego z powodu rażących, niemal potwornych błędów pomysłu i formy; nie chcemy jednak bynajmniej twierdzić, żeby wszystkie utwory w zbiorku zawarte tak dalece lichymi były. Żaden wprawdzie wiersz nie wznosi się nad mierność, ale jest kilka udatnych, a kilkanaście możliwych do czytania bez wstrętu. Dwie grupy wierszów zatytułowane: „Z gór“, „Z morza“ nie odbijają właściwych wrażeń; można nawet powiedzieć, że nie są z natury odczute, lecz z opowiadań i czytania obmyślone, lub wymarzone: ale zawierają parę utworów znośnych jako to: „Głosy dwóch epok“, „Anakreontyki w górach“, „Rozbitek“. W dziale „Dziejów serca“ bardzo zręcznie odtworzono złudę „oczarowanego“ kochanka, który w każdej pozie kochanki, w każdem jej słowie i w każdym ruchu widzi samą doskonałość. Wiersz „Do ptaszki“ odznacza się rzewną tęsknotą bez przesady sentymentalnej. Ironia dobrze użyta cechuje wiersz „Bez serca“, przypominający niektóre liryki Heinego. W końcu dodane są przekłady z Horacego, Goethego, Heinego, Grüna, Puszkina, Longfellowa, Musseta. Tylko kilka pieśni Heinego (VII, XIV, XVI), za dobre uważać można, z Horacego i Goethego są niezłe, inne całkiem liche, zarówno pod względem układu wierszy, jak i oddania myśli. Taka jest treść seryi pierwszej „Poezyi“ Kościelskiego: oceniając jej wartość, nie przesądzamy naturalnie znaczenia dalszych, jeżeli kiedy nastąpią.

Przypisek redakcyi: Poczuwamy się do obowiązku nadmienić, że krytyka powyższa wydaje nam się nadto bezwzględną. W pierwszym tomie poezyi Kościelskiego znajdują się obok wielu rzeczy słabych, często przebłyski prawdziwego talentu, który w późniejszych utworach, a mianowicie w pięknych „Melodyach biblijnych“ złożył dow[...] [...]pewnej siły i dojrzalszej formy.

II.

Jan Kasprowicz.

Jan Kasprowicz już przy pojawieniu się pierwszego zbiorku swych „Poezyi“ (r. 1889, Lwów) miał sobie przez T. T. Jeża przyznaną „fizyognomię odrębną“ wśród poetów spółczesnych, odrębną mianowicie pod względem treści, gdyż w niej odczuł twórca „Wasyla Hołuba“ oddźwięk tych tęsknot, bólów i skarg, „jakie stanowią istotę życia ludów w niewoli“.

Spostrzeżenie Jeża było trafne; musi być tylko bliżej określonem. Tęsknot, bólów i skarg w poezyi naszej wieku XIX nie brakło; owszem jak z konieczności położenia narodowego wynikało, było ich w niej pełno. Co więcej, nawet ta specyalna sfera cierpień, jaka się w losie ludu uwydatniła, miała także w poezyi przedstawicieli swoich, choćby jeno Goszczyńskiego i Berwińskiego przypomnieć.

Ale ci poeci dla przedstawienia niedoli ludowej albo brali wyjątkowe postaci i wypadki, albo też dla propagandy idei demokratycznej wystawiali lud jedynie jako niewinną ofiarę gwałtów, nadużyć, czy w ogóle bezprawia. Inni

---

Hr. L. TOŁSTOJ.

PAN I SŁUGA.

NOWELA.

Tłom. z orginału **M W.**

(Ciąg dalszy.)

— Szczęśliwy człowiek, nie gryzie go widocznie żadna troska. Śpi sobie w najlepsze — myślał z gniewną zazdrością Brechunow, spoglądając przez tylną poręcz sanek na okrytego grubą warstwą śniegu Nikitę.

Wstając tak i znowu się kładąc ze dwadzieścia może razy, Brechunow myślał z rozpaczą, że noc ta chyba się nie skończy.

— Niedaleko być już musi do rana — szepnął nakoniec znowu się podnosząc i rozglądając dokoła. Trzeba spojrzeć na zegarek. Zmarznę wprawdzie rozpinając futro, ale weselej mi będzie, skoro się przekonam, że wnet świtać zacznie. Weźmiemy się do zaprzęgania.

— Brechunow w głębi duszy wiedział, że świt nie może tak zaraz rozbłysnąć, ale trwoga ściskała go coraz silniej w swych kleszczach i dla tego chciał zarazem przedłużyć złudzenie i sprawdzić swoje domysły. Rozpiął więc ostrożnie haftki futra, wsunął rękę za nadrze i długo nią wodził nim sięgnął w kieszonkę kamizelki. Z wielką trudnością wyciągnął nareszcie srebrny, ozdobiony emaljowanemi kwiatkami zegarek i podniósł go do oczu. Bez światła wszelako niczego dojrzeć nie mógł. Położył się więc znowu plackiem jak wówczas, gdy chciał papierosa zapalić. Ale teraz wziął się z większą wprawą do rzeczy: namacał zapałkę, która miała największą ilość fosforu i od razu ją zapalił. Zbliżając zegarek do światła, spojrzał i własnym oczom nie chciał wierzyć... Było dopiero dziesięć minut po dwunastej. Całą noc jeszcze miał przed sobą.

— Ach, długa noc! — westchnął Brechunow, czując zimny dreszcz, przebiegający mu po ciele, a potem zapiąwszy futro, otulił się, jak mógł najlepiej i wcisnął w kąt sani. Nagle z poza jednostajnego szumu wiatru dal się słyszeć wyraźnie jakiś drgający dźwięk. Dźwięk ten natężał się stopniowo, a doszedłszy do zupełnej wyraźliwości, zaczął słabnąć. Żadnej nie mogło być wątpliwości, że to wyje wilk. A znajdował się on tak blisko, że pomimo wiatru wybornie można było rozróżnić, jak poruszając szczękami, zmieniał dźwięk głosu. Brechunow odwinął kołnierz, wsłuchując się z całą uwagą. Z niemniejszem natężeniem słuchał i gniadosz, a gdy wilk skończył swój pasaż, koń przestąpił z nogi na nogę i parsknął ostrzegająco. Po takiej muzyce Brechunow nietylko już nie mógł zasnąć, ale i uspokoić się. Pomimo wszelkich wysiłków, aby myśleć o spekulacyach, interesach, o swej sławie, znaczeniu i bogactwie, nie mógł zapanować nad strachem, który coraz bardziej nim owładnął — i ponad wszystkiem górowała, do wszystkiego się mięszała myśl dla czego nie został na noc w Gryszkinie.

— I co mi tam po tym lesie, wszak i bez niego dzięki Bogu interesów nie brak. Hej, trzeba było nocować — mówił sam w duchu. — Pijani ponoś zamarzają z łatwością, a ja pił nie mało.

I badając samego siebie, czuł, że zaczyna drżeć, chociaż nie umiał zdać sobie sprawy, dla czego drży; z zimna, czy obawy. Próbował otulić się znowu i leżeć jak przedtem, ale nie był w stanie tego uczynić. Nie mógł pozostawać ani chwili w spokoju, coś go podnosiło, coś pchało do przedsięwzięcia czego bądź, byle tylko stłumić strach, który go ogarniał i wobec którego czuł się bezsilnym. Wydostał znowu papierosy i zapałki, ale tych ostatnich pozostało mu już tylko trzy i to najgorsze. Jakoż wszystkie trzy starły się, nie wydając ognia.

— Ha, przeklęta, zgiń — przepadnij, żeby cię djabli porwali! — wymyślał Brechunow, sam nie wiedząc kogo przeklina i cisnął ze złością zmięty papieros. Zamierzał na razie cisnąć w ślad za nim i pudełko od zapałek, ale

zaś, jak Bohdan Zaleski i Lenartowicz, wybierali same sympatyczne rysy charakterystyki ludu, chcąc za ich pomocą zjednać serca inteligencyi, przejąć je współczuciem dla smutków i nieszczęść, a uwielbieniem dla dobroci i poświęcenia, odwagi i bohaterstwa wśród mas ludowych.

Jednem słowem dawniejsi poeci, z wyjątkiem Goszczyńskiego, malowali lud idealistycznie, a ci, co w naszych już czasach ten sam temat wzięli do obrobienia (Asnyk, Konopnicka i inni) poszli w ich ślady. Kasprowicz dopiero odrzucił wszelką sentymentalną, czy humorystyczną idealizacyę i zaczął traktować lud realistycznie w swych poezyach, jak Jeż, Sienkiewicz, Sewer, Prus, Dygasiński w swych powieściach i nowelkach. Kocha on lud całem sercem, „świętym“ go nawet nazywa, ale znając wybornie zarówno zewnętrzną stronę jego bytu jak i jego duszę, nie myśli go bynajmniej wyodrębniać pod względem moralnym od reszty ludności, lecz owszem, uwydatnia, że w nim takie same są uczucia, i takie same obłędy, takie same pożądania i namiętności, takie same rysy usposobienia i charakteru, jak w innych klasach narodu, tylko się w odmiennych przejawiają formach z powodu odmiennego stopnia kultury.

Cienie gęściej są nawet rzucone w jego utworach, aniżeli jasne smugi. Czy weźmiemy pierwszy zbiorek poezyi pod uwagę, czy ostatni: „Anima Lachrymans“ (1894 Lwów), czy też dramat „Świat się kończy“, wszędzie spotykamy się ze złośliwością, z chciwością, rozpustą, a nawet zbrodnią, czasami w kilku naraz przedstawicielach, gdy postacie i uczucia dodatnie w drobnych zaledwie występują rolach. Przypomnijmy sobie tylko najogólniejszą treść opowiadań, zawartych w „Anima Lachrymans“.

„Król Lear z Biedaczewa“ — to obraz twardego serca i zupełnego wyzucia się z uczuć rodzinnych. „Maciej Kosarczyk“ — to przykład bezlitośnego postępowania ojca względem córki, która zbłądziła (co przypomina jeden z motywów dramatu „Świat się kończy“); „Marcin Szafran“ — to znów przykry okaz pijaka, który z powodu swej brzydoty stał się przedmiotem szyderstw ze strony dziewcząt wiejskich. W „Hance Ołpińskiej“, obok matki, poświęcającej się dla lepszej przyszłości syna, mamy wizerunek pijaka ojca, i idącego za nim z biedy potomka.

Nie myślę bynajmniej pochwalać wyboru takich tylko tematów, nie jestem zwolennikiem pessymistycznego przekonania, że więcej na świecie wątrób, niż serc; nie uważam też owych opowiadań za rzeczy piękne; zastanowiłem się nad niemi dla tego głównie, ażeby charakterystykę sposobu patrzenia na życie ludu u Kasprowicza wydobyć i zarazem zaznaczyć, że jest to niewątpliwym dowodem wzmożenia się idei demokratycznej u nas, gdy jeden z przedstawicieli kierunku ludowego, człowiek lud prawdziwie kochający, nie wahał się uwydatniać stron ciemnych w charakterze tego ludu; znaczy to bowiem, że lud ten kochamy wraz z jego wadami, tak samo, jak kochamy w ogóle naród, chociaż różnym jego klasom wiele mamy do zarzucenia.

I to jeszcze przytem zauważyć warto, że o istnienie tych ciemnych stron w życiu ludu poeta nie obwinia innych warstw społeczeństwa, jak to było we zwyczaju bardzo długo. Nie pochlebia on tym warstwom, wytyka im zdrożności, ale za każdą wadę, za każdą zbrodnię chłopa nie stawia pod pręgierzem jakiegoś surdutowca, owszem, wspominając o czasach nawet dawniejszych, o czasach pańszczyźnianych, nie bał się nakreślić sylwetki „Jana Rudawskiego“, który, choć szlachcic, był rzeczywistym bratem wieśniaka i miłość sobie jego pozyskał.

Jest więc Kasprowicz śpiewakiem głównie niedoli ludu, wyczekującym świtu nowej doby w losach ludzkości i narodu, ale nie wnoszącym fermentu nienawiści względem warstw innych, gdyż pewnym jest, że przyszłość bądź co bądź do ludu należeć będzie. Najpiękniejszemi utworami, w którym niedola wzruszyć musi każdego, mającego uczucie ludzkie, są: „Rumianek“ (śmierć chłopskiego dziecka) i „Na rozdrożu“ (sponiewierana dziewczyna wiejska). I forma tych lirycznych obrazków jest pełna świeżości i oryginalności.

Wskazawszy to, co w poezyach Kasprowicza uważam za część najbardziej znamienną i oryginalną, przejdę już krótko te utwory, w których poeta podąża wraz z innymi współczesnymi po szlakach już utartych. I tu również najwydatniej dźwięczy wyraz bólu i cierpienia, usymbolizowany w samym tytule najnowszego zbiorku poezyi Kasprowicza: „Dusza płacząca“. Boleje piewca nad marnością wysiłków, nad słabością woli, nad ciężkiemi warunkami bytu. Czasami pojawi się odbłysk Baudelairowskiej ironii gorzkiej i piekącej, jak np. gdy mówi o losie literata na bruku lwowskim („Batjar“), albo o palącej, jak zgaga, miłości ulicznej (Venus vulgivaga“). Nie popada jednakże peeta ani w sceptycyzm, ani w krańcowy pessymizm. Wyznaje on bowiem tę krzepiącą zasadę, że „jak ruda w ogniu znajduje oczyszczającą potęgę, tak człowiek w boleści“, każe nawet tej boleści błogosławić i nie otwierać wnętrza dla rozpaczy, osłabiającej ducha. Nadzieja lepszych dni podtrzymuje w nim siłę wytrwania, a zapał wieku młodzieńczego, nie tłumiony widokiem bezprawia i nikczemności ludzkiej, nie ostudzony wyziębieniem serca, każe mu wierzyć, że „promień życiodajnej wiosny lśni się dokoła“, a „śmierci zuchwała potęga“, co „niszczy bytu szlachetne zarody“, złamaną została, albo też złamaną być może, jeśli tylko męztwo i dzielność dawna wrócą do dusz, które chciano do służalstwa nagiąć. Cały cykl poezyi, objętych ogólnym napisem: „Z areny publicznej“ tętni otuchą „majowego świtu“; i budzi ospałych, rozleniwionych do życia w duchu narodowym.

Wobec tak silnego przejawu pełni zdrowia wewnętrznego, muszą być uważane za przemijające tylko zboczenia z wytkniętej drogi, za chwilowy nastrój jedynie, te pessymistyczno-panteistyczne westchnienia do „słodkiej zwiastunki“ spokoju i ciszy — do śmierci, jakie najwymowniej znajdujemy wypowiedziane w symbolicznym utworze p. t. „Maryan Olchowicz“. Być może, ból jakiś doraźny, rozjątrzony rozmyślnem weń wpatrywaniem się i zasilany lekturą dawniejszych i spółczesnych pessymistów, wylał się w tym utworze pełnym uniesienia i fantazyi; lecz niewątpliwie nastąpiło potem ukojenie, z którego wypłynęły poezye, tchnące otuchą i zachęcające do życia, nie do śmierci. A chociaż „Maryan Olchowicz“ kończy najnowszy zbiorek poezyi, nie jest przecież ostatnią ich pieczęcią; dostał się on na to miejsce albo przypadkowo, albo też dla zharmonizowania wspólnego tytułu („Dusza płacząca“), odnoszącego się właściwie do jednego tylko działu, — z całością książki.

Tak sobie wyjaśniamy ten okrzyk cierpienia i to pragnienie bezwzględnej ciszy; a że to nie jest dowolnością z naszej strony, o tem świadczą utwory „Z areny publicznej“, jak nie mniej piękny poemacik, z biblii zaczerpnięty, a do naszego położenia narodowego przystosowany „Ezechiel“. I dla tego widzimy w Kasprowiczu jednego z tych poetów młodszego pokolenia, którzy otrząsając się z wpływów Byrona, Musseta, Heinego, Baudelaire'a (zestawiam te nazwiska obok siebie dla zwięzłości tylko) zdrowie i uczucia i zdrowię myśli przenoszą nad patologiczne objawy wyczerpanego organizmu, którzy swoje cierpienia jednostkowe podporządkowując cierpieniom mas, szukają dla nich ulgi nie w negacyi życia i przyszłości, lecz w stwierdzeniu nadziei, że, mimo wszystko, lepiej być może. Sam on napisał dawniej w wierszu programowym: „Oni i my“ następne słowa określające jego pogląd na zadanie poezyi w chwili obecnej:

Pragniemy w sztuce hartu, siły, woli,
Pragniem postaci energicznych, bitnych,
A nie ginących w smutnej melancholii.

---

powstrzymał ruch ręki i wsunął je w kieszeń. Ogarnął go taki niepokój, że nie mogąc już dłużej wytrzymać, wyskoczył z sanek, zwrócił się plecami do wiatru, odwiązał pas i zaczął go znowu silnie a nisko zawiązywać.

— I poco mam leżeć, oczekując śmierci, kiedy mogę dosiąść konia i w drogę ruszyć — przyszło mu nagle do głowy. — Podemną samym bez sanek i woźnicy, koń przecież nie ustanie. Dla niego — zwrócił się myślą ku Nikicie — śmierć nie straszna. Jakie tam było jego życie — nie będzie miał czego żałować. A ja, dzięki Bogu, mam jeszcze po co żyć na świecie.

I odwiązawszy konia, zarzucił mu cugle na szyję i chciał go dosiąść, ale osunął się ponownie na ziemię. Więc stanął w saniach, aby stamtąd wskoczyć na gniadosza, ale sanie przechyliły się pod jego ciężarem i próba znowu się nie udała. Za trzecim razem nakoniec podprowadził konia tuż do sanek, wspiął się ostrożnie na brzegu i tyle dokazał, że padł plackiem w poprzek końskiego grzbietu. Wypoczywszy w tej pozycyi przez chwilę, podał się naprzód raz i drugi, aż przerzucił w końcu nogę przez grzbiet konia i siadł, wspierając stopy w braku strzemion na dolnych rzemieniach uprzęży. Pchnięcie rozkołysanych sani przebudziło Nikitę, który wstał i — jak się wydało odjeżdżającemu mówił coś do niego.

— Dobrze wyszedłem, słuchając was, głupców, ale dłużej słuchać nie będę. A cóż to, mam ginąć nie wiedzieć po co i za co? — odkrzyknął Brechunow, zapychając pod kolana poły rozwiewającego się futra, poczem zawrócił konia i popędził go w kierunku, gdzie — jak przypuszczał — powinien był znajdować się las i leśniczówka.

Nikita, jak siadł okryty płachtą za tylną poręczą sani, tak siedział nieruchomy. Jak wszyscy, którzy zżyli się z naturą i nieraz w życiu zaznali nędzy, Nikita mógł spokojnie i cierpliwie wyczekiwać przez całe godziny, a nawet dni, nie doświadczając ani trwogi, ani podrażnienia. Słyszał on wybornie, jak gospodarz go wołał, ale nie odezwał się umyślnie, nie chcąc się poruszać. Myśl, że nietylko może umrzeć tej nocy, ale podług wszelkiego prawdopodobieństwa i umrze z pewnością, przyszła mu do głowy, gdy się sadowił za saniami.

Aczkolwiek ciepło mu jeszcze było od wypitej herbaty i natężonego ruchu, któremu się oddawał, łażąc po zaspach, wiedział jednak, że ciepła tego starczy nie na długo i że rozwinąć go znowu za pomocą ruchu nie będzie już w stanie, gdyż czuł się zupełnie wyczerpanym, tak wyczerpanym jak koń, gdy ustaje i musi dostać obroku, aby módz dalej pracować. Na domiar złego noga, na której miał podarty but, zziębła, a w wielkim palcu stracił już zupełnie czucie. I w całem zresztą ciele odczuwał coraz ostrzejsze, coraz dokuczliwsze zimno.

Myśl, że nie doczeka już następnego poranku, nie wydała się mu zbyt przykrą, ani zbyt straszną. Nie wydała się mu zbyt przykrą, bo całe jego życie nie było wesołem świętem, lecz przeciwnie ciągłą, nieprzerwaną służbą, która zaczynała go już nużyć. Nie zbyt straszną wydała mu się ta myśl dla tego, że oprócz gospodarzy takich, jak naprzykład Brechunow, którym służył na tej ziemi, czuł nad sobą głównego gospodarza, który go przysłał na ten świat i wiedział, że umierając przejdzie pod rozkazy tego gospodarza, a on nie skrzywdzi.

— Smutno porzucać to, do czego się przywykło, z czem się zżyło. Cóż robić jednak, trzeba i do nieznanych rzeczy przywykać.

— Grzechy? — przemknęło mu przez głowę, budząc wspomnienia pijaństwa, przepijanych pieniędzy, krzywd, wyrządzanych żonie, przekleństw, niechodzenia do cerkwi, niezachowywania postów i tego wszystkiego, co mu wyrzucał pop na spowiedzi. — Grzechów nie brakło w mojem życiu, ale czy to ja sam o nie się ubiegałem? Takim już widocznie Bóg mnie stworzył. Więc choć i były grzechy, dokądże się podzieję?

W ten sposób zastanawiał się Nikita nad tem, co mogło go spotkać tej nocy i rozstrzygnąwszy w sposób powyższy tę kwestyę, oddał się myślom i wspomnieniom, które cisnęły się mu do głowy. Przypomniał sobie przyjazd

Nawet i wtenczas, gdy leżą w spokoju,
Chcemy w nich widzieć chęć czynu i boju!
O, tak! my cenim piękno, lecz ze życiem
W nierozerwalnej będące harmonii,
Za romantycznem nie gonimy kwieciem
I egzotycznej nie pragniemy woni.
Nasza poezya — echem cierpień ludów,
Pragnieniem światła, chleba, wolnej dłoni.
Nasza poezya bez wizyi i cudów
Dzisiaj pobudką do czynów i męstwa,
A jutro — jutro oddźwiękiem zwycięstwa!

Z większych poematów, w których Kasprowicz, programowi wierny, cierpienia ludów odmalował, wymieniam Chrystusa (Lwów, 1890). Pracuje też on nad wykończeniem obszerniejszej opowieści wierszem z życia chłopskiego p. n. Wojtek Skiba, z której wyjątki pomieściło Ateneum. Częściowo też w czasopismach ukazały się fragmenty z poematu p. t. Miłość.

Strona zewnętrzna poezyi Kasprowicza była z początku zaniedbana nieco, szorstka, twarda; lecz autor, walcząc z trudnościami w przekładach z obcych poetów wyrobił sobie następnie dużo swobody i łatwości, nie pozbywając się siły i energii wyrażenia. Gdyby nie konieczność pracy dziennikarskiej na chleb, byłby Kasprowicz najpłodniejszym z naszych spółczesnych poetów.

Józef Szafarzyk.

W stuletnią rocznicę urodzin.

Dnia 13 maja roku 1795 urodził się w Kobielarowie, w Słowacyi, Paweł Józef Szafarzyk. Porówno z Janem Kollarem i Amosem Komeńskim, nie jest Szafarzyk Czechem w ścisłem znaczeniu tego wyrazu, ale Słowakiem.

Czeski miesięcznik naukowy „Oświeta“ (nasze „Atheneum“) umieścił w zeszycie majowym obszerne o Szafarzyku studyum, pióra wnuka jego dr. Konst. Jireczka. Autor tak ocenia działalność tego niepospolitego męża: „Znakomity Słowak z komitatu gemerskiego był założycielem slawistyki; pracował i żył w czasie, gdy żadnych nie było prawie pracowników przed nim, gdy badacz rzeczy słowiańskich zmuszony był sam wyszukiwać źródła, kiedy rezultaty badań mało znajdowały uznania w nader szczupłem gronie inteligencyi słowiańskiej, a jeszcze mniej poparcia lub zachęty. „Starożytności słowiańskie“ i „Słowiański Narodopis“ są jego głównemi dziełami, godnemi pamięci wiecznej, pierwszym obrazem krytycznym najstarszych dziejów słowiańskich, pierwszem oznaczeniem ścisłem siedlisk i narzeczy wszystkich narodów słowiańskich; on pierwszy wydał biografie św. Cyryla i Metodego, opisy najstarszych pomników słowiańskich, z jego ręki wyszły pierwsze edycye krytyczne pamiątek staroserbskich. Obok tego jest autorem wielu prac lingwistycznych, położył wiekopomne zasługi około języka czeskiego i literatury czeskiej. Cichy i skromny odznaczał się wiedzą gruntowną, pilnością, przedsiębiorczością i energią nieprzebraną. Szafarzyk byłby więcej dokonał, ale w wykonaniu wielu rzeczy przeszkadzały mu nieszczęścia i zawody doznawane w życiu...“

Paweł Józef Szafarzyk był synem pastora słowackiego, odbywał studya gimnazyalne w Różniawie i Dobszynie, następnie studyował w Jenie. Na uniwersytecie jenajskim zawarł znajomość z patryotami czeskimi: Kollarem, Palackim, Jungmannem, Hanką i innymi. Wychowany w gimnazyum niemieckiem nie miał poczucia narodowego, dopiero czytanie prac Jungmanna i Dobrowskiego obudziły w nim świadomość narodową. W roku 1819 powołano go na urząd dyrektora gimnazyum serbskiego w Nowym Sadzie. Okoliczności tej mamy do zawdzięczenia zaznajomienie się Szafarzyka ze Słowiańszczyzną południową. W roku 1833 musiał posadę tę opuścić dla ciągłych szykan oraz podejrzeń ze strony władzy węgierskiej i przenieść się do Pragi. Tutaj wyrobiło mu szczupłe grono patryotów czeskich — głównie za staraniem Palackiego — roczną pensyjkę wysokości 480 złr., pod warunkiem atoli, że pisywać będzie po czesku. Chcąc jako tako wyżyć musiał Szafarzyk uciec się do wydawnictwa pisma ilustrowanego „Swetozar“, wychodzącego dotychczas, musiał również przyjąć niezaszczytny urząd cenzora. Po kilku latach pobytu w Pradze, sława jego jako uczonego stała się tak wielką, iż uniwersytety w Petersburgu, Berlinie i Wrocławiu ofiarowały mu katedry. Szafarzyk wezwaniom tym odmówił, chciał bowiem mieszkać w Pradze.

W roku 1848 stosunki materyalne Szafarzyka znacznie się polepszyły. Mianowano go członkiem Akademii Umiejętności w Wiedniu, zrobiono profesorem lingwistyki na uniwersytecie pragskim. Katedry się zrzekł, gdy mu ofiarowano posadę bibliotekarza uniwersyteckiego. Wkrótce atoli zapadł ciężko na zdrowiu. W liście pisanym wówczas do rosyjskiego uczonego Pogodina pisze, że staje się nerwowym, że traci pamięć i wzrok. Choroba duchowa i zniechęcenie do życia tak nim owładnęły, że dnia 23 maja r. 1860 wyszedłszy niepostrzeżenie z domu, udał się na most i r[illegible] zeń w zamiarze samobójczym do wody. Od śmierci go wyratowano, ale umarł rok po tym wypadku dnia 26 czerwca 1861.

Działalność naukowa i literacka Szafarzyka obejmuje trzy działy: poetyczny, historyczno-archeologiczny i lingwistyczny. Do działu pierwszego zaliczamy zbiór poezyi, pisanych w narzeczu słowackiem, tłomaczenie Szylerowskiej tragedyi „Maryi Stuart“, oraz liczne tłomaczenia klasyków greckich i rzymskich.

Dział historyczno-archeologiczny obejmuje dzieła najważniejsze. Pierwszą pracą w tym kierunku, którą Szafarzyk zwrócił na siebie uwagę powszechną, była ocena dzieła polskiego historyka Surowieckiego (Ueber die Abkunft der Slaven nach Lorenz Surowiecki). Najważniejszem dziełem Szafarzyka, które wyszło u nas w Poznaniu w r. 1847 w polskim przekładzie są „Starożytności Słowiańskie“. W roku 1848 przetłomaczono je i na język rosyjski i niemiecki. Z innych prac posiadają niezaprzeczoną wartość „Prehled pramenu stare slovanske historie“, „O Rusalkach“, „O Svarohovie, bohu pohanskych Slovanuv“ (Svaroh był bogiem słońca i ognia), „O narodech kmene skythiekeho“, „O zemi jmenovane Bojki“ itd. W roku 1842 wydał dzieło wiekopomne: „Narodopis slovanski“, które w krótkim czasie wyszło w trzech wydaniach.

Dział lingwistyczny reprezentują dzieła: „Geschichte der slavischen Sprache und Litteratur nach allen Mundarten“, dalej „Uebersicht der schriftlichen Denkmäler älterer Zeit bei den Südslaven“, „Monumenta illyrica. Rozkwiet slovanske literatury v Bulharsku“ i inne.

Obok tych dzieł wydanych, zasługuje również na uznanie bogaty materyał i szkice prac niewykończonych, dotychczas spoczywających w rękopisie. Ilość ich przewyższa prace wydane. Niestety rzeczy te nie mają dziś już wielkiej wartości okrom biograficznej. W tej spuściźnie literackiej Szafarzyka znajdują się jego własną ręką z manuskryptów przepisane prace Miklosicza, Srezniewskiego, Daniczyca, Kukuljewicza, Brczica i innych; świadczy to o niezwykłej pracowitości Szafarzyka.

Szafarzyk nie jest zwykłym typem uczonego; — dzieło, którego dokonał, przekracza zakres zasług ludzi tem mianem oznaczanych. Szafarzyk był jednym z tych, którzy dokonali dzieła odrodzenia się Czechów, Morawian i Słowaków, dlatego słusznie porówno z Kollarem i Palackim zaliczony przez nich został w poczet „ojców narodu“.

D. Królikowski.

Marty, pijatykę parobków, swoją odmowę co do wzięcia w niej udziału, wyjazd dzisiejszy z domu, izbę Tarasa, rozmowę o dzieleniu gruntów; z kolei przyszedł mu na myśl syn wyrostek, gniadosz, który teraz grzeje się pod derką i przewracający się ze skrzypem sani z boku na bok gospodarz.

— I sam żałuje teraz pewne, że pojechał — myślał Nikita. — Nie chce mu się rozstać z dostatniem i przyjemnem życiem i nie dziwota: jemu trudniej umrzeć, niż takim jak ja.

I wszystkie te wspomnienia i myśli zaczęły się mu plątać i mieszać w głowie, aż w końcu zasnął.

Gdy jednak Brechunow, wskakując na konia wprawił w ruch sanie, a tylna ich ścianka, o którą się opierał, odsunęła i płoza uderzyła go w plecy, Nikita chcąc niechcąc musiał zmienić pozycyę. Wyprostowując z trudnością nogi i zgartując z nich śnieg, podniósł się zwolna i w tejże chwili bolesne uczucie zimna przejęło całe jego ciało. Domyślając się, że Brechunow odjeżdża, zawołał na niego, prosząc o pozostawienie zbytecznej już teraz dla gniadosza derki.

Ale Brechunow nie zatrzymał konia i znikł po chwili w śnieżnej zamieci. Pozostawszy sam, Nikita namyślał się przez chwilę, co ma począć dalej. Nie czuł w sobie dość sił, aby się puścić na odszukiwanie siedzib ludzkich, nie mógł też wrócić na dawne miejsce, które śnieg zasypał bez śladu, wiedział niemniej, że i w saniach się nie ogrzeje, nie mając czem się okryć, wobec tego, że własny jego kożuch i kaftan nie dawały mu już żadnego zgoła ciepła. Czuł teraz tak przejmujące zimno, jak gdyby miał na sobie jedną tylko koszulę. — Stał więc przez chwilę w zamyśleniu, a potem westchnął i nie ściągając z głowy płachty, padł w głąb sani, gdzie leżał przed chwilą gospodarz. Skulił się w kłębek na samym spodzie sani, pomimo to jednak ogrzać się nie mógł i leżał przez jakie pięć minut, dygocąc całem ciałem; ale dreszcze stopniowo ustawały, a jednocześnie gasła przytomność. Czy to był sen tylko, czy śmierć, Nikita nie wiedział, ale czuł się zarówno przygotowanym tak na jedno, jak na drugie. Jeżeli Bóg rozkaże otworzyć oczy, na tym jeszcze świecie i pędzić dalej takie, jak dotąd życie, to jest opatrywać cudze konie, jeździć do młyna z cudzem zbożem, od czasu do czasu zapijać się, a później wyrzekać wódki, oddawać wszystkie zapracowane pieniądze żonie, no i bednarzowi i oczekiwać pociechy z syna wyrostka, niech się dzieje święta wola boska. Jeżeli zaś Bóg rozkaże zbudzić się na innym świecie, gdzie wszystko będzie dlań tak nowem i radosnem, jak tu na ziemi nowemi i radosnemi były w pierwszych latach życia pieszczoty matki, zabawy z rówieśnikami, łąki, lasy, jeżdżenie sanną, gdzie, słowem, rozpocznie się całkiem odmienne, inne, nowe życie — i wtedy niech się dzieje święta wola boska.

I Nikita stracił do reszty przytomność.

VIII.

Brechunow tymczasem, uderzając konia nogami i końcami cugli, popędził go w kierunku, gdzie — jak przypuszczał — powinien był znajdować się las i leśniczówka. Śnieg zlepiał mu powieki: a wiatr jakby chciał go zatrzymać, ale on, pochylając się naprzód, otulał wciąż szubą i podsuwał ją pod siebie, aby mu dogodniej było siedzieć na zimnej, guzikami nabijanej uprzęży i nie przestawał popędzać konia. Jakkolwiek z wysiłkiem i z wolna gniadosz szedł pokornie tam, gdzie mu kazano.

W ciągu pięciu jakich minut Brechunow jechał w prostej — jak mu się zdawało — linii, nic nie rozróżniając prócz głowy konia i białej pustyni i nic nie słysząc, prócz poświstów wiatru, grającego na uszach konia i własnym jego kołnierzu. Nagle zamajaczyło przed nim coś czarnego. Z bijącem radośnie sercem pospieszył ku ciemniejącej plamie, widząc już w niej ściany chałup wioskowych. Ale czarny punkt był ruchomy, chwiał się na wszystkie strony i nie była to żadna zgoła wioska, tylko miedza, porośnięta wysokim burzanem, z którym wiatr wyprawiał harce.

(Dokończenie nastąpi).

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Polacy nad Renem.

Kolonia, maj 1895.

„Incorrupta fides, nudaque veritas“
Horatius.

Towarzystw polskich mamy w Kolonii aż dwa, niestety zastosować można do nich, równie jak i do innych towarzystw polskich w Nadrenii, pessymistyczne zdanie, że „niewszystko złotem, co się świeci“. Piszę *niestety*, bo w tem lub owem piśmie czytając od czasu do czasu wzmiankę o licznych zebraniach, wspaniałych uroczystościach, wielkiej liczbie członków, o ich gorliwem uczęszczaniu na posiedzenia, o sile odpornej, jaką wywierają przeciw naciskowi germanizacyi etc. etc. mniemać by można, że Polacy w Nadrenii to gałęź naszego narodu, która swą dziarskością i dzielnością przewyższa, z najmniej o głowę braci żyjących w kraju, dzi[illegible]czyć się, za przykład stawiać ich można. [illegible]a *veritas* ma się tymczasem inaczej.

Korespondencye w sprawach tutejszych towarzystw, nadsyłane do różnych redakcyi, pisane bywają zwykle przez osoby, których jasnowidzenie nie sięga dalej nosa, a którzy zapatrywania swe na czynności poszczególnych Towarzystw mierzą ilością wyprawionych tańcówek. Artykuły takie, pisywane zwykle przez scribifaxów, którzy płytki pogląd swój na działalność i rozwój życia wychodzców pokrywają optymistycznemi frazesami i dytyrambami, i którzy zadawalniają się uchem łowić radosne wybuchy, podniecone kuflami piwa i na podstawie głośniejszych objawów budują fałszywe wnioski na korzyść ducha narodowego, — bałamucą tylko opinią publiczną.

Powiedział Maksymilian Fredro, że „kto co gani, tego nie kocha, a czego nie kocha, o to nie dba“ i smutno by mi było, gdyby za krytyczne uwagi posądzono mnie o obojętność, od czego uchowaj Boże. Ganić, a błędy wytykać, to dwa różne zadania, a sumienie nakazuje mi lepiej narazić się na cierpkie uwagi za moją „złośliwość“, niż minąwszy się z prawdą iść wygodniejszą, utartą drogą i pisać superlativami pochwał naszpikowany artykuł, z którego słuszna nagana i krytyka zostałyby wykluczona. Czytając o Towarzystwie polskiem w Kolonii, Szan. Czyt. mogą sobie wyrobić zdanie i o innych Towarzystwach naszych w Nadrenii, bo stosunki tu i tam mniejwięcej do siebie podobne.

Wielu przybywa dotąd Polakami, ale statystyka smutne wykazałaby rezultaty, ilu z przybyszów Polakami pozostaje, ilu z nich chociaż po latach wraca do kraju, żeby nabyte wiadomości zużytkować w interesie własnego społeczeństwa. Błędnem byłoby wszystkich potępiać w czambuł, ale z drugiej strony nie należy stale tutaj osiadłych Polaków uważać za „niezwyciężonych“, a do Towarzystwa nadmiernego przywiązywać znaczenia, chociażby z tego powodu, że liczba ich członków minimalna, że rezultaty ich czynności, względnie mówiąc, równają się — prawie — zeru. Winni temu, oczywiście, Polacy sami, że nie łączą się w gromadę, że nieraz towarzystwa niemieckie przenoszą nad polskie, że w ostatnich nie znajdują upodobania, lub krępowani fałszywemi względami na stanowisko własne, unikają starcia się z żywiołem polskim, uważając go prawie za „nieprzyzwoity“ za „*nicht standesgemäss*“. Winne z drugiej strony i zarządy pojedyńczych towarzystw, że nie posiadają stanowisku swemu odpowiedniej sprężystości, za pomocą której trzeba skupiać około rozniecanego ogniska coraz większe masy, ogrzewając je ciepłem rodzinnych zwyczajów i obyczajów; że nie umieją zainteresować i wkorzenić jasnych zapatrywań na obowiązek, jaki na Polakach-wychodzcach ciąży; że nie posiadają zdolności gospodarza, który powinien wspólny pobyt uprzyjemnić, urozmaicić go i *last not least* — przybyłych zabawić. Kolonia, Düsseldorf, Akwisgran i inne większe miasta nad Renem tak obfitują w lokale i zabawy, rozrywające szarą nić kłopotów codziennych, tak są kuszące do jawnogrzesznictwa narodowego, że charaktery słabe ulegają ich pokusom, czyniąc w życiu narodowem wyłom, który jest tem dotkliwszy, ponieważ zły przykład innych wabi do dezercyi z posterunku, na którym ich postawił fakt, że urodzili się Polakami. Wobec takich warunków poziom życia patryotycznego opada, a brak nam męża, któryby umysłem umiał ogarnąć całokształt smutnego położenia, któryby miał wolę, czas i odpowiednie siły ująć w kluby tę rozproszoną rzeszę, pogodzić zwaśnionych, przemówić im do serca, zachęcić do działania na wspólnę korzyść, ku zadowoleniu własnego sumienia. W Kolonii samej jest Polaków kilka tysięcy, a tymczasem jedno towarzystwo liczy tylko 20 członków, drugie coś 100 podobno. Gdzie i jak reszta ich czerpie pokrzepienia ducha i jakie ztąd rezultaty? Przeważny kontygens tutejszych Polaków stanowią robotnicy i rzemieślnicy, warstwa ludzi, wystawionych najwięcej na paraliż germanizacyjny, bo otoczona wpływem przeważniejszej liczby innoplemieńców, a nie uzbrojona dostatecznie w siłę odporną, jaką daje oświata, tonie w morzu niemieckiem, powiększając straty rodu polskiego na rzecz Niemców. Tym braciom naszym i w tutejsze okolice do wojska zaciągniętym Polakom największe grozi niebezpieczeństwo, a najmniej na takie podobne przypadki posiadamy środków ratunkowych, żeby nie pozwolić upaść ich duchowi, żeby wpoić w nich dumę narodową, uchronić od zobojętnienia i zachować dla naszej sprawy. Lud polski, zwłaszcza zatrudniony po fabrykach, tak prędko przywyka do niemieckiego chleba, a w otoczeniu rdzennie niemieckiem tak bezmyślnie poddaje się wpływom zewnętrznym, tak szybko zapomina obowiązków narodowych, że uzbierawszy nieco grosza, na stałe tu się osiedla, zakłada interes, kupuje grunt, rozpala ognisko domowe i — żeni się z Niemką. Ostatni ten krok zwykle bywa pożegnaniem się z polskością. Dzieci już słowa po polsku nie rozumieją, bo obojętność rodziców, szkoła, kościół i całe ukształcenie otaczających stosunków pracują nad ich wynarodowieniem. Skorumpowane nazwiska, jak Botzian, Tschetziak, Stritschek lub Kontzky najlepiej świadczą o praktycznej polityce tych „uniwersalbürger“. W wojsku nie lepiej ma się sprawa. Nasz chłopek np., wzięty do wojska w niemieckie strony, z początku zaledwie kilka słów zna obcej mu mowy, ale zamknięty w koszarach, zastraszony groźbą i karą, uczy się z książki i od otoczenia, a szykany towarzyszy wojskowych i znęcanie się przełożonych nad „dummer Polack“ uwagę i pracę jego tak podwajają, że zwykle nie mija pół roku, a nasz chłopek język śpiewa „Heil dir im Siegerkranz“, niż „Boże coś Polskę“, lub nawet „Kto się w opiekę“. Zdarza się, że 2 lub 3 Polaków w jednej mieszkają i sypiają kazamacie koszarowej, nic przeto dziwnego, że w ojczystym języku prowadzą rozmowę, ale czuwający gefrajter, który nad nimi roztoczył skrzydła opiekuńcze, taką im za tę zuchwałość daje nauczkę, tak ich umie rozdzielić, takiemi otoczyć towarzyszami, że biedny Polak gnie się, chyli, a w końcu pod naciskiem upada. Zapomniawszy w 3 latach służby po polsku, — bo nie miał czasu na pisywanie listów do domu, bo nie czyta po polsku, bo nie miał sposobności do spotkania się z rodakami, — kruszy się w nim miłość do rodziny pozostałej pod ojczystą strzechą, kruszy miłość do gleby rodzinnej i zatrudnień w polu, do skromnych zwyczajów w ojcowskiej chacie, aż obdarty z ideałów narodowych i ludzkich staje się niczem, ni rybą ni rakiem. Nieliczną jest garstka tych, którzy nie skrzepli w cudzoziemczyźnie, których hasłem usque ad finem, ale wzgląd trzeba i w kraju brać i na tę małą liczbę, której nieracyonalnem wydaje się, gdy czyta w gazetach, jak nasi posłowie na sejmie upominają się o język polski zawsze tylko dla religii i kościoła, jak gdyby nam obok wiary i narodowość również świętą nie była. Chowanie się takie za ornat kosmopolityczny zobojętnia dla spraw narodowych, które jako więcej potrzebujące poparcia na pierwszym planie stawiać należy. Pokora — jak powiedział Bismarck — jest dobrym środkiem do zbawienia duszy, ale narodu nigdy jeszcze nie zbawiła i dlatego otrząsnąć się trzeba z małodusznego strachu, który całą akcyę narodowego życia w zarodku tłumi i paraliżuje. Polacy wobec sfory polakożerców niczego może nie osięgną w sejmie, ale wyprostowaliby spaczone dążności, zwyrodnione pojęcia obowiązku, utrzymaliby niesfałszowaną zasadę w pojęciach współziomków, którzy, jak tak dalej pójdzie, nie będą w końcu wiedzieli, czy są Polakami czy katolikami.

Łask nie pragniemy, bo one bałamucą umysły słabe, tworzą partye rozbijające jedność, a w dzieciach i młodzieży naszej obniżają uczucia, które w szlachetnym narodzie, podeptane nasze prawa wywołać muszą koniecznie. Rozbudzić trzeba naród uśpiony pokorą, ażeby przyszedł do samowiedzy praw swoich i nie łask sobie życzył, ale o spełnienie obietnic się upominał.

Rdzennym objawem życia narodowego jest co najmniej ruch umysłowy, jednolitość działania i jasny a stanowczy program polityczny, bez nadprogramowych wyczekiwań w przedpokojach cesarskich, a tymczasem wśród nas panuje głusza i ciemność egipska, niemoc i bezradność, która odrętwia ducha, coraz szersze na tej stojącej wodzie zakreślając koła. Zamiast skoncentrować siły i chociażby tylko utrudnić wrogom ich bezprawne zamiary, omdlały naród nasz staje się sektą fatalistów i bezczynnie wyczekując „przeznaczenia“, pozostawia opatrzności rozwiązanie zagmatwanego węzła, którego osłabiony rozum i refleksyami podminowana wiara jego rozwiązać już nie potrafi. Słońce naszej doli smutno tymczasem wschodzi, a promienie jego Baltazarowemi głoskami piszą zdanie pisma św.: „Ojciec mój smagał was biczami, a ja smagać was będę basałykami“. Jeden po drugiem daje nurka z pokładu i woła: „jak wiatr pomyślny zawieje, to i my głowy wychylimy z wody“, a nie baczy, że statek bez zalogi rozbić się i na dno pójść musi.

I coraz częściej i coraz szersze koła ogarnia beznadziejne uczucie społecznej dekadencyi i to nietylko tych, którzy umieją rozróżnić prądy polityczne, ale i tych, którzy nawet nazwać ich nie umieją, a zdaniem sobie sprawy z istotnego stanu rzeczy nie trudzą głowy. Usypiające wiadomości z kraju drukowane pod nagłówkiem: „Błogosławieni cisi...“ uważają za dogmat, a opinie dyplomatyczne fabrykowane w kuźniach politycznych działają na ich z domu wyniesione odporne uczucia i na ich energią jak narkotyk. Bierność to śmierć, a nam żyć trzeba, żyć i ożywiać. Zadaniem Towarzystw wobec smutnego stanu rzeczy, jest zatrzymać niestety w bieg już wprowadzoną kulę obojętności, która dla nas stała się prawdziwą kulą u nogi. A jednak gdyby przez te zmęczone umysły, drzemiące serca i uśpione w bezczynności ręce przebiegła jakaś iskra elektryczna, podsycająca funkcye mózgu, prężąca muskuły, zapalająca ogień w żyłach — ileżby z tego było korzyści!

Smutny stan naszych Towarzystw nad Renem tłumaczono mi brakiem najważniejszego nerwu w naszym organizmie, który się nazywa nervus rerum, a który w życiu ludzi i narodów jest lampą Aladyna, za potarciem której ma się wszystko, czego się pragnie. I znowu na stół wychodzi kwestya pieniężna; nie możemy strzelać dla 24 przyczyn, a po pierwsze dla tego, że nie posiadamy prochu... Niestety! jesteśmy ubodzy, brak nam pieniędzy, nie mamy kapitałów, nie mamy czem obracać, a nasi magnaci, żeby zamiast grosza nie dać dukata, wolą nic nie dać, a za to — exemplum docet — jak były poseł kujawski p. Kościelski wyznaczyć nagrodę dla zwycięzcy w regatach, jakie odbyć się mają po otwarciu kanału Północnego. Dawniej mówiono, że bliższa ciała koszula niż kaftanik, dziś tempora mutantur można deklamować z Owidem. Ale czy Szan. Czytelnicy

nie wiedzą gdzie powstało przysłowie: „rzucać groch o ścianę?“ — zdaje się, że tylko u nas. A nie słyszeliście o czerpaniu wody przetakiem i o przelewaniu pustego w próżne? Słyszeliście? więc niepotrzebnie brałem w jednę rękę groch, a w drugą przetak i szedłem na plac, gdzie już tylu innych zmachało się nadaremnie.

Niebardzo tu u nas wesoło jak widzicie, ale korzeni naszej niedoli na obczyźnie, szukać należy w kraju, gdzie senność wśród społeczeństwa i fałszywe opinie od lat rozsiewane przez „rozsądnych“ redaktorów, zakaziły wzrastające pokolenia miazmatami bezczynności, pogrążyły w lenistwie umysłowem i obniżyły termometr uczuć narodowych. Działalność szkodliwej, pełnej moralnych laseczników atmosfery politycznej skutecznie paraliżować może dom i rodzinę.

Intenzywniejsze w kierunku narodowym wychowanie domowe, głośniej i z większym naciskiem głoszone nasze prawa i żywszy nastrój społeczeństwa nie ograniczający się jedynie na nadziejach powstałych podczas słodkiego dolce far niente, to pierwszy szaniec przeciw germanizacyi wychodźców, a potem... gdyby nie gorzkie zdanie Tyzenhauza, że w Polsce krewni na to są tylko, żeby się gryść nawzajem, bo nie oglądając się na opiekę Towarzystw itd. przedewszystkiem krewni powinni dbać o krew własną na obczyźnie i jak Argus stuoki, przydany na straż Jowiszowi przez Junonę, strzedz, żeby w małżeństwie narodowem nie cudzołożyli i ściskać węzeł, który ich łączy z krajem.

Środkiem do tego różne bywają remedya, a wybór ich trzeba pozostawić indiwidualności pojedyńczego osobnika. Zebranemi w życiu doświadczeniami innym razem podzielę się z „Przeglądem“, a dziś darujcie, że zgrzytem słonych uwag sprawiłem dysharmonią w koncercie tak chętnie u nas śpiewanej piosnki: Kochajmy się, nie dajmy się...

Gorzko, ale „difficile est satiram non scribere“.

Witold Leitgeber.

KRONIKA WIEDEŃSKA.

Wiedeń, d. 28 maja 1895.

Nowy minister spraw zewnętrznych. — Sprawy rady miejskiej. — Znowu emigranci do Brazylii. — Widmo reformy wyborczej — Nowe pismo polskie w Wiedniu. — Tryumfy Zimajerowej.

Niespodzianie wszedł na stanowisko człowiek, o którym wcale nie wspominano przez cały czas trwania sporu Kalnoky-Banffy. Zdawało się, że pośrednictwo cesarza sprawę uspokoi, a przynajmniej załagodzi aż do zwołania wspólnych delegacyi Austro-Węgier. Tymczasem z każdym dniem spór się zaostrzał, okoliczności rozwojowi jego sprzyjały i zmusiły po raz drugi Kalnoky'ego do wniesienia prośby o uwolnienie go z posady ministra. Cesarz prośbę przyjął i natychmiast zamianował nowego funkcyonaryusza w osobie hr. Agenora Gołuchowskiego, dawnego ambasadora w Rumunii. Węgierskie pisma przyjęły tę wiadomość z wielkiem niezadowoleniem, ale już nie było sposobu temu zapobiedz. W kołach polskich panuje wielka radość z nowego ministra, lubo zapominać nie wolno, że hr. Gołuchowski, pomimo swojej polskości, jest bardzo służbisty i austryacki, to znaczy rządowy, a w tych warunkach, w jakich jego nominacya nastąpiła, innym być nie może. Jest u nas wielu polityków, którzy w każdem nowem zdobyciu jakiegoś stanowiska urzędowego widzą zdobycie kawałka korony, a tymczasem zapominają, że znaczna część galicyjskiego społeczeństwa nie jest tyle dobrym Polakiem, ile dobrym Galicyaninem, kochającym swój kraj — Galicyę — i swego króla: — cesarza austryackiego.

To też ani Dunajewski, ani Ziemiałkowski, ani Moreyski i Jaworski nic dla polskości nie zrobili, a dla Galicyi specyalnie wcale nie wiele; Gołuchowski w tym względzie innemi nie pójdzie torami. Tylko jednem więc możemy się cieszyć, a to zaufaniem monarchy do Polaków swoich; w czasie kiedy pod zaborami moskiewskim i pruskim rząd uważa nas za zbrodniarzy i nieprzyjaciół, cesarz Austryi przeciwnie, w nas widzi swoich szczerych poddanych, których rady pomocy zasięga w rządach państwowych. Rada miejska stanowi we Wiedniu bezustanną *„question du jour“*. Antysemici na razie zwyciężyli, przewódca ich został vice-burmistrzem, ale dalej ani na krok. Za parę dni mają wybierać z pośród siebie burmistrza; — dla *Luegera* brakuje *trzech* głosów, i ani rusz je uzyskać! Zresztą jest pewność, że gdyby się nawet owe trzy głosy potrzebne do większości znalazły, — to rząd potwierdzenia *Luegerowi* odmówi i radę rozwiąże, poruczając sprawy miasta swojemu komisarzowi, aż do ponownych wyborów.

W tych dniach ciekawe widowisko było w korytarzach parlamentu. Kilkudziesięciu chłopów galicyjskich, uległszy namowom agentów, a cierpiących głód i nędzę na własnym zagonie, postanowiło wyjechać do Brazylii. Resztki mienia sprzedali, „schiffkarty“ kupili i dójechali do Gracu. Tam policya wszystkich aresztowała i osadziła w aresztach miejskich, dla braku paszpartów. Poseł Lewakowski pojechał do Gracu i wymógł uwolnienie ich z więzienia. Cofnięto ich więc do Wiednia, gdzie udali się do „Koła Polskiego“ o pomoc. Posłowie złożyli się na drogę powrotną do Galicyi, podczas kiedy emigranci ani myśleć nie chcą o powrocie do wsi, gdzie już ani zagonu nie posiadają. Chcą do Brazylii — a tymczasem zjadają ostatni grosz w Wiedniu! To wychodźctwo nasze to prawdziwy skandal! Ani porządku, ani kierunku, ani ratunku dla głodnego chłopa galicyjskiego. Albo z głodu umrzeć na swojem imieniu, albo zmarnieć w podróży do „ziemi obiecanej“.

Donosiłem wam o nowem piśmie polskiem w Wiedniu. Pogłoska się sprawdziła, i pismo takie wyjdzie pod redakcyą *posła dra Witolda Lewickiego*. Do składu redakcyi należeć mają jeszcze posłowie: *Rutowski, Szczepanowski i Sokolowski,* oraz kilka wybitnych sił młodszych, których nazwiska później doniosę. Pismo będzie mieć tytuł *„Przełom“* i pójdzie w kierunku jak najbardziej postępowym pod względem literatury i sztuki, a czysto polskim odnośnie do polityki austryackiej. Zobaczymy, jaki będzie pierwszy numer i jego program, na razie wstrzymujemy się od wszelkich przypuszczalnych domniemywań...

Po kilku latach, ponownie przybyła do Wiednia Adolfina Zimajer, jedna z najznakomitszych artystek operetkowych tak w Polsce jak i w Niemczech. Występuje w „Carltheater“ i śpiewa w operetce na polskiem tle osnutej p. t. *„Lachtaube“* (turkawka). Przyjęcie, jakiego tutaj doznała przed dziewięciu laty, pozostało do dzisiaj w pamięci wiedeńskiej publiczności, to też zaraz na pierwszem przedstawieniu nie było końca oklaskom i witaniom. Trzeba przyznać, że dzisiaj stanowisko pani Zimajerowej jest daleko trudniejsze, chociażby już z tego względu, że kiedy dawniej wystąpiła w operetce nowej i nieznanej, w roli, której żadna artystka po niej w Wiedniu dotąd nie grała, dzisiaj ukazała się w granej sztuce, pisanej dla tutejszej subretki, pani *Kopacsy-Karczay,* Węgierki, reklamowanej aż do znudzenia przez wszystkie miejscowe dzienniki. Dla tego też tem więcej podnosi tutejsza krytyka jej talent, a przedewszystkiem artyzm, jakim przewyższa swoją poprzedniczkę. Gra jej jest zupełnie skończona, a umiejętność w używaniu głosu wprost zdumiewająca. Prasa wiedeńska *bez wyjątku* przyjęła Zimajerową z prawdziwem uznaniem, a publiczność co wieczór teatr zapełnia po same brzegi. O ile słyszałem, to z artystką naszą traktują równocześnie duże dyrekcye o zatrzymanie jej stale w Wiedniu i prawdopodobnie jedna z nich ją zatrzyma.

Xi.

Odezwa.

Od „Stowarzyszenia Pomocy Naukowej dla Polek im. Kraszewskiego“ odbieramy odezwę następującą:

Ośm lat dobiega od chwili, kiedy grono ludzi dobrej woli, chcąc uczcić pamięć J. I. Kraszewskiego jakimś trwałym pomnikiem, założyło stowarzyszenie jego imienia, mające za cel udzielania stypendyów Polkom, kształcącym się na Uniwersytetach.

Już wówczas odczuwano, że rodaczkom naszym, dążącym do światła, dzieje się krzywda: nie dość, że brak należytego przygotowania utrudnia im studya, konieczność wyjazdu na obczyznę naraża je na tysiączne przykrości, moralnej i materyalnej natury. Nie będąc w stanie na razie radykalnie zapobiedz złemu przez otwarcie dla Polek szkół średnich i uniwersytetów krajowych, społeczeństwo chciało choć w części wynagrodzić tę krzywdę, przez niesienie pomocy w formie stypendyów. W tej idei powstało Stowarzyszenie imienia Kraszewskiego.

We wszystkich krajach cywilizowanych istnieją stowarzyszenia, mające na celu ułatwianie kobietom nabycia wyższego wykształcenia. Wiedeński „Verein für erweiterte Frauenbildung“, jakkolwiek liczy dopiero dwa lata istnienia, już rozporządza kapitałem przeszło 6,000 złr. i utrzymuje gimnazyum dla dziewcząt. Takież same cele ma praska „Minerwa“, usilnie popierana przez czeskie społeczeństwo. W Ameryce i Anglii oddawna istnieją specyalne uniwersytety kobiece, utrzymywane w części kosztem rządu, w części zaś społeczeństwa. W Rosyi świeżo na wieść o ponownem otwarciu uniwersytetu dla kobiet, posypały się hojne datki, które w krótkim czasie dosięgły 700,000 rs., zaś pani Roydiestwienska ofiarowała na koszta jego utrzymania po 12,000 rocznie.

U nas zastęp kobiet, zdobywających wykształcenie uniwersyteckie, zwiększa się stale, trudne zaś warunki, wśród których te dzielne istoty pracować muszą, nie zmieniły się ani na jotę. To też Stowarzyszenie nasze bardzo wiele ma do zrobienia. Chcąc racyonalnie ułatwić Polkom zdobycie wyższego wykształcenia, powinno ono obok udzielania pomocy materyalnej w formie stypendyów pomyśleć o założeniu szkoły średniej, mogącej dać do studyów uniwersyteckich dostateczne przygotowanie. Fundusze jego jednak są, niestety, zbyt skromne, by zadaniu swemu odpowiedzieć mogło. W roku bieżącym zdobyliśmy się zaledwie na dwie skromne zapomogi jednorazowe, a gdzie stypendya stałe tak niezbędne?, gdzie środki potrzebne do utrzymania gimnazyum żeńskiego?...

Ufni, że społeczeństwo nasze tak hojne zazwyczaj, gdzie chodzi o użyteczną i uczciwą sprawę, i tutaj oczekiwań naszych nie zawiedzie, zwracamy się do wszystkich, odczuwających doniosłość poruszonej sprawy, z gorącą prośbą o poparcie naszych usiłowań przez jak najliczniejsze zapisywanie się na członków i jednorazowe ofiary.

Członkiem zwyczajnym stowarzyszenia według brzmienia § 8 naszego statutu, może być każdy bez różnicy płci, wyznania i stanu wnoszący 1 złr. rocznie, zaś członkiem założycielem każdy, który złoży na cel Stowarzyszenia jednorazową kwotę 25 złr.

Zapisywać się na członków można u podskarbiego Stowarzyszenia, profesora N. Cybulskiego, Kraków, Szczepańska 11, lub też u sekretarza Dr. Grossa, Kraków, Grodzka 46.

Przewodniczący: *Dr. Adam Belcikowski.* Zastęp. przewod.: *K. Bujwidowa.*
Sekretarz: *Dr. Adolf Gross.*

Kraków, 1895.

NA WYŁOMIE.

(Z placu wystawy. — Negliż. — Bawarki. — Pawilony pracy kobiecej. — „Aniołku czekamy“. — Pokrzepmy się).

„Pani Wystawa“ jest stanowczo niemoralną kobietą. Jeszcze toalety nie ukończyła, a już podwoje na rościeź otwiera i gości przyjmuje w negliżu. Mój przyjaciel Edzio uśmiecha się jak Satyr podpatrujący nimfy kąpiące i mrużąc oczy, bierze mnie pod ramię: „To lubię! pójdziemy!

I poślijmy — przepraszam wszystkie gołębice za tę rozpustę, — oglądać nagość półkrytą, ale co mi ten grzesznik Edzio nawymyślał za fałszywą analogią, tego dotychczas nawet „Kuryer Poznański“ nie dokazał. Bo, proszę państwa, zdawało mu się, że ujrzy, jakieś batystowe, koronkami strojne koszule, denerwujące gorsety, halki jedwabne i różne białości negliżu — Edzio pouczył mnie, że kolorowe spódniczki i t. d. już uśmierciła moda okrutna — a tu odsłoniła pani Wystawa całe góry piasku, żwiru i wiorów, całe legiony wozów i batalion robotników z drabkami, młotami i piłami w ręku.

— Piękny mi negliż, — zamruczał Edzio, — i spojrzał z podełba na sympatyczną „bufetową“ w jednej z polskich winiarni. Przypomniała mi się głośna „Ella“ z lwowskiej wystawy, — tamta miała oczy wiecznie uśmiechnięte, tej oczy wiecznie się dziwią.

Nie wiem, czy ta zdziwiona blondynka odegra podobną rolę jak Ella, nie wiem, czy stanie się ulubionym tematem reporterów wystawowych jak tamta, i nie wiem, czy wzorem apetycznej Wiedenki ujarzmi najwyższych dygnitarzy, ale to stwierdzić mogę bez namysłu, że koleżanki swoje z Bawaryi, transplantowane z nad Izary nad Wartę i umieszczone dwadzieścia stóp nad ziemią w powietrznej piwiarni, zwycięży w „konkursie piękności“. Prawdą a Bogiem, to łatwem jest tu zwycięstwo, bo te Bawarki mają z bawarskiem piwem tyle tylko wspólnego, że chłodzą. A zatem katońskie niewiasty, matki i żony, zasypiajcie spokojnie. Cnota waszych mężów i synów nie poniesie szwanku i posępny okrzyk „Caveant uxores consulum“ nie wypłoszy z domu waszego anioła ciszy.

Edzio, który mimo swoich sułtańskich słabostek jest gorącym patryotą nawet na punkcie miłości, zatarł radośnie ręce i uszczypnąwszy mnie w ramię, rzekł:

— A co? Polki górą!

Prawda! Lecz o zwycięztwie Polek w dziedzinie ludzkiej urody nie wątpiłem nigdy i dla tego zadowolenie moje z tryumfu tego było tylko takie, jak gdyby do startu wyścigowego stanął rumak angielski obok chłopskich koników i zdobył pierwszą nagrodę. Tak być musiało, — bieg nie denerwował, nie budził obaw, i dla tego ucho s p o r t s m a n a nie lubowało się w fanfarach zwycięstwa.

Z większem zaciekawieniem i głuchym niepokojem zbliżałem się do pawilonów pracy kobiecej, gdzie Polska i Niemcy w dwóch graniczących oddziałach walczą o lepsze. Lękałem się benedyktyńskiej pilności córek Germanii, lękałem się mistrzostwa ich techniki i zmysłu organizacyjnego: tam jest nietylko kokieterya pracy, haftująca chusteczki i robiąca pończochy w publicznych ogródkach, teatrzykach i salach koncertowych, tam jest istotnie praca, wytrwałość i mrówcza cierpliwość. Więc proszę wybaczyć mi tę nieufność gryzącą, która prześladowała mnie na progu dwóch obozów kobiecych, — która zamieniła się jednak w jakieś uczucie serdecznej wdzięczności i w jakieś rzewne wspomnienie z lat dziecinnych, gdy młodemu chłopięciu opowiadano o Psiem polu, Płowcach i Grunwaldzie. — Niemki podjęły się ryzykownego eksperymentu. Zamiast wystawy robót kobiecych w utartem tego słowa znaczeniu pokusiły się o wystawę sztuki, i to nietylko stosowanej do przemysłu, lecz czystej — portretowej, krajobrazowej i rodzajowej. Na takiem założeniu opiera się pozorna świetność ich oddziału, ale równocześnie tkwi w tym dominującym charakterze artyzmu pięta Achillesowa. Prawdziwe artystki bowiem schronią się niezawodnie do pawilonu sztuki, który na gwałt kończy toaletę swoję, a w pawilonie robót kobiecych szuka przytułku rzesza amatorek.

W pierwszym sądzić będzie o przyjęciu utworów j u r y fachowe, w drugim o sztuce sądzi dyletantyzm. Tam hasłem jest „sztuka“, tu „praca kobieca“, — tam szukają artystek, tu malujących kobiet, — a wobec tego niemiecki oddział pracy niewieściej ubrany w efektowne cechy galeryi musi wywierać wrażenie jakiegoś nieudanego wysiłku, jakichś pretensyonalnych ćwiczeń artystycznych. Na pierwszy rzut oka lśni się to i błyszczy i barwami mieni, ale gdy wpatrzysz się w te malowanki, szukasz napróżno — sztuki. Są to mniej więcej poprawne robótki szkolne, w których przedewszystkiem uderza brak silniejszej indywidualności i techniki. Słodkie to, wypieszczone, zdradzające gdzieniegdzie pewne poczucie barwy, ale na ogół są to próbki dyletanckie, bez głębszej artystycznej wartości. Jest tam jeden portret chłopczyka, malowany przez hrabiankę M a l t z a h n, cukierkowy nieco, przepracowany i martwy w kolorze, ale utrzymany przynajmniej w tonie i względnie poprawny w rysunku; natomiast opodal razi jakieś malowidło jaskrawe, przedstawiające głowę starej kobiety. Twarz modelowana fatalnie, całość twarda, błędna w liniach i niezdradzająca najmniejszych kolorystycznych zdolności. Mógłbym z tego częstochowskiego towaru przytoczyć jeszcze kilkanaście próbek, ale obawiam się, przekroczyć granic pogadanki feljetonowej i utonąć w tych fałszywych rysunkach, kolorach, światłach i cieniach. Powiem zatem tylko tyle, że należałoby wystawione obrazki przepuścić przez sito artystycznej krytyki a lubo przy takiej operacyi „galerya“ zmalałaby do niepoznania, to niemiecki oddział „pracy kobiecej“ zyskałby przez to niemało. Człowiek mimowoli tak się zniechęca tym potopem dyletantyzmu, nadającego całemu pawilonowi ton i charakter, że już nie znajduje odwagi rozpatrywać się w rzeczywistych „robotach i robótkach kobiecych“, w tych haftach, koronkach i gobelinach, które w dziale przemysłu artystycznego zaszczytne zajmują miejsce.

Zupełnie odmienne wrażenie wywiera drugi obóz niewieści, gdzie polskie kobiety stanęły do wyścigu. Tu nie króluje pędzel, — lecz igła, druty, klocki, szydełka i te tysiączne drobiazgi, które milionowemi obrotami pracowitej ręki snują pajęczynę koronek, arabeski haftów, mozaikę kanwy, wiązania złotych i srebrnych sznurów, bukiety kwiatów i deszcz perełkowy. Dokładną ocenę bogatego żniwa pracy naszych kobiet powierzy niezawodnie „Przegląd Poznański“ fachowej ręce, — ja tylko rzucam urwane dźwięki artystycznych wrażeń, a żałuję, że nie umiem tak pięknie haftować piórem jak nasze panie igiełką. Mam jednak kolegę w Cieplicach, którego haft stylowy jest tak czarujący, że jeżeli harfa Lilli Wenedy zamieniała „gady w słuchaczy“, to słowa jego — słuchaczy w gady syczące zmieniają, a jeżeli Krasiński o Słowackim powiedział, że gdyby dźwięki języka polskiego stać się mogły indywiduami, powinnyby się zebrać i złożyć się na posąg dla Juliusza z napisem „Ojcu ojczyzny“, to „Jaskółce z Cieplic“ powinny dźwięki te pomnik postawić z napisem „Macosze ojczyzny“. O! bo straszną macochą jest ta „Jaskółka“ wołająca w fejletonach „Dziennika Poznańskiego“ swoje „A n i o ł k u c z e k a m y“.

Kiedyż nareszcie zjawi się ten anioł i koniec będzie powieści! I kiedyż nareszcie znajdzie się u steru „Dziennika“ człowiek, który nie będzie upatrywać talentu literackiego w takich np. zdaniach: „Anielka powlekła swemi aksamitnemi oczyma po burych, a rozogniowych oczach szlachetnego młodziana na znak wdzięczności! A potem jej niebieskie oczy spotkały się z czarnemi Bogumiła, stojącego w zadumie w końcu fortepianu, i długo w nich pozostały, a łzy dziewicze, drżące, przelewały się z kąta w kątek jej rzęs.“ (!!!)

Jezus! Marya! uciekajmy odpocząć pod krzak tych prześlicznych róż sztucznych, które pani Puchalska z Krakowa wystawiła przed pawilonem pracy bobiecej, lub ratujmy się złotemi płynami, ugrupowanemi opodal w kształcie piramidy.

Ba! kiedy butelki zamknięte.

Edzio powiedział mądre słowo:

„Jakże mam sądzić o wódkach i winach z kobiecych spiżarni, jeźli mi spróbować nie wolno“.

Sulla.

U pani Adolfiny Zimajer.

(*Interwiew.*)

Wiedeński dziennik „Neues Wiener Journal“ poświęca następujący artykuł pani Adolfinie Zimajer, której interesujące występy na poznańskiej scenie zachowali czytelnicy nasi niezawodnie w świeżej jeszcze pamięci:

„We wtorek wystąpi pani Zimajer w teatrze K a r o l a. Któż nie przypomina sobie szalonego powodzenia, jakiego przed jedenastu laty doznała artystka, występując w teatrze „an der Wien“ w „Gilette de Narbonne“. Sympatyczna Polka była bohaterką dnia; na każdem przedstawieniu teatr był wykupiony; wszędzie mówiono tylko o pani Zimajer.

Przez kilka lat głucho było o artystce. Zeszłego roku pojawiły się wieści, budzące żal i współczucie. Opowiadano sobie, że gwiazda Zimajerowej blednie, że troski i nędza zaglądają jej w oczy. Nagle przybywa artystka znowu do Wiednia, i kładzie tamę wszelkim hiobowym wieściom. Zajęcie, jakie genialna Polka wszędzie budzi, spowodowało jednego z naszych współpracowników do odwiedzenia artystki w jej mieszkaniu.

Oto treść zajmującej rozmowy z artystką:

„W ciągu roku“ — mówiła pani Zimajerowa — dostałam trzy zaproszenia na gościnne występy do Wiednia. Najprzód miałam znowu wystąpić w teatrze „an der Wien“. Panna S c h o e n e r e r zgadzała się na występy, ale brakło odpowiedniej sztuki. Skoroby się takowa ukazała, chciała p. Schoenerer zawrzeć ze mną kontrakt. Wreszcie sztuka się znalazła, — bo „S z a n s o n e t k a“ odpowiadała moim gustom — ale zjawiła się pani P a l m a y. Drugie zaproszenie odebrałam od teatru R o n a c h e r a. Propozycyę tę odrzuciłam bez dyskusyi. Przed dwoma tygodniami doszła mnie propozycya agentury T a e n c z e r a, aby objąć rolę po pani K o p a c s i w T a u n d a „L a c h t a u b e“. Rola i partytura były w moim guście, więc zgodziłam się jak najchętniej. Nie może pan sobie wyobrazić, z jaką rozkoszą przybywamy (tu wskazała na swego męża, biorącego żywy udział w rozmowie) do Wiednia. Wiedeń to najpiękniejsze wspomnienie mego życia. Zawsze było mojem marzeniem zamieszkać stale we Wiedniu. Ale tego z rozmaitych powodów przeprowadzić nie mogę“.

„Pani nie zgodziła się tutaj na występy w teatrze, w którym publiczność, przy stolikach siedząc, pali i pije, a w Berlinie przed niedawnym czasem wystąpiła pani w takim teatrze?“

„Nie robię z tego tajemnicy. Miałam grać w „Lindenteatrze“; kiedy przyjechałam, był tam „krach“ i zaszły zmiany w zarządzie. Daremnie więc odbyliśmy daleką podróż z Warszawy do Berlina. Odrzuciłam przedtem wszystkie inne oferty i w braku zajęcia przyjęłam nader korzystną propozycyę dyrektora owego teatru „gdzie palą i piją“.

„Tutaj we Wiedniu, z powodu występów owych w Berlinie, wyrażano się o Pani z pewnem współczuciem“.

Pani Zimajer roześmiała się na cały głos; po tym śmiechu poznałem ją znowu, ten śmiech bowiem to jej specyalność. Tym śmiechem budziła niegdyś podziw; i teraz śmieje się równie szczerze i serdecznie. Rzekłbyś, że śmiejąc się tryluje w coraz wyższym tonie.

„Tylko proszę się nie litować; niech Bóg zachowa, żebym miała budzić litość. Jeszcze do tego niema powodu. Kto wpadł na koncept litowania się nad nami? Nigdy nie cierpieliśmy i nigdy nie będziemy cierpieli nędzy. Żyjemy, dzięki Bogu, w bardzo korzystnych warunkach, bo musi Pan wiedzieć (a mówiła to z ironiczną powagą i w sposób niezrównanie komiczny) że jestem nieomal „panią na zamku“ i posiadam małą lecz prześliczną wiejską siedzibę. Niech Pan będzie łaskaw nas odwiedzić, jeśli Pan zapragnie użyć idylicznego spokoju. W Zakopanem, polskiej wsi, niedaleko granicy, w głębi gór, mamy naszą posiadłość. Urocza cisza zalega dokoła. Lato zwyczajnie tam spędzamy, a zimą, kiedy życie teatralne nadto mnie zmęczy, uciekamy jak w dym do Zakopanego. Czy Pan wie, gdzie Zakopane leży? Kilka godzin

jazdy od stacyi koleji, — tak, gdybym tylko wiedziała, jak się ta stacya nazywa. Powiedz ty“.

Mąż, do którego się zwróciła, gładził poważnie siwy wąs. — „To nazwa węgierska“, — powiada. „Zaraz! jakże się nazywa!“

Pani Zimajer bębni gniewnie palcami po stole. Szpak, który jej stale towarzyszy we wszystkich podróżach i wesoło melodye z repertuaru swej pani wygwizduje, zaczyna na dobre świegotać.

„Cicho, cicho, ty gaduło“ — woła, a zwracając się do mnie, dodaje: „On tak zawsze paple. Więc nazywa się ta stacya, — no jakże się też nazywa“.

Pokazuje język, dotyka nerwowo końca i mówi: „Ot, tu na końcu języka mam, ale tego węgierskiego wyrazu wymówić nie mogę. Mówię po francuzku, angielsku, niemiecku, rosyjsku i polsku, i w każdym z tych języków grałbym mogła, ale takiego węgierskiego wyrazu nie wykrztuszę. Zeszłego roku byłabym się niemal przedzierzgnęła w angielską aktorkę. Angażowano mnie do Ameryki, ale, ponieważ nie dawano dostatecznych gwarancyi, nie pojechałam“.

„Nas Polaków zawsze coś nęci do obcych scen. W Polsce mamy mało teatrów. Teatr polski przechodzi ciężkie chwile. Usuwa mu się grunt. Grałam teraz w Warszawie, a długoż jeszcze będzie teatru w Warszawie?!“

W dalszym ciągu wspominała artystka, że była na pożegnalnem przedstawieniu pani K o p a c s i w teatrze Karola.

„Jak się pani Kopacsi podobała?“

„Jest równie oryginalna, jak Palmay. Temperament węgierski przebija. „T a t j a n ę“ zagram zupełnie, zupełnie inaczej. Przekona się pan naocznie! Może K o p a c s i ma słuszność Ale ja już sobie rolę obmyśliłam. Ani na chwilę nie będziemy do siebie podobne. Role swoje bardzo starannie studyuję“.

„Jeszcze mi Pani nie powiedziała, jak się Kopacsi podobała?“

„Nie krytykuję nigdy, nigdy! Mówmy o czem innem, nie o teatrze. Niechętnie rozmawiam o tym przedmiocie. Podczas pobytu w naszem ustroniu, o teatrze ani słówkiem nie wspominamy. Goście nasi o tem wiedzą i o teatr nie potrącają. Teatrem jestem przesycona. Na polskich scenach dużo się słomy namłóci — człowiek jest rad, gdy odetchnie świeżem, górskiem powietrzem i zamiast aktorów zobaczy górali“.

I otóż dojechaliśmy znowu do Zakopanego, wsi polskiej, oddalonej o kilka godzin drogi od... od...

„Zakazana nazwa“ — woła miła kobieta, — tak trudna i pogmatwana, że druty telegraficzne się plączą, gdy jako depesza po nich przelatuje.

KRONIKA LITERACKA.

„P r z e ł o m“. W Wiedniu ukazał się pierwszy zeszyt nowego tygodnika polskiego p. t. „Przełom“. Jest to organ lewicy galicyjskiej, wychodzący pod redakcyą dr. W i t o ł d a L e w i c k i e g o. W przedmowie znajdujemy ustęp następujący:

„Oto Prometeusze kosmopolityzmu znieśli ogień z niebiosów i rzucili zarzewie walki klas, walki społecznej, dobrali się do samego rdzenia narodowego życia i zatrzęśli tem, co dotąd stało nieruchome.

A w takiej chwili, kiedy zdawało się, że wszystkie siły skupią się około narodowego sztandaru, złośliwy los cisnął nam jeszcze boleśniejsze orędzia: objawiono nam wśród puzonów reklamy niebywałej w Polsce jakieś sybilijskie księgi racyonalizmu narodowego. Z szumem wiatru dolatywał nas jęk rozpaczy i krzyk protestu z naszych cmentarzysk narodowych i poruszyły się w grobach kości męczenników naszych.

Zniesie naród boleść niewoli i nędzę wygnania i zbrodnie przemocy ręką wroga wymierzane; zniesie smutki szarego dnia bez słońca nadziei i pracę na chl b powszedni, ale nie zniesie propagandy nihilizmu narodowego, nie zniesie kłamstwa trzech lojalności, nie zniesie naigrawania ze swych ideałów, nie zniesie wyrzeczenia się swej przyszłości przez własnych swoich nauczycieli głoszonego.

Kiedy takie teorye się pojawiają, kiedy one są możliwe i pod dyskusyę poddawane, wtedy na tych, którzy pierwsi dawali hasło zaprzestania walki, przychodzi obowiązek protestu.

Kiedy wszyscy umilkli, kiedy nawet ci, co tego kościoła narodowych pamiątek urzędowymi byli stróżami, nie mówią, wtedy mówić będzie ostatni obrońca narodu: naród sam. I niechaj nas nikt nie pyta, kto nam dał prawo mówienia. Mówić ma każdy prawo — ma obowiązek. My także. My zawsze ci sami. Stoimy między obozami skrajnymi, walcząc z ekstremami“.

Pod odezwą nowego tygodnika znajdujemy nazwiska trzech wybitnych polityków galicyjskich: Lewickiego, Rutowskiego i Stan. Szczepanowskiego.

„Kuryerowi Poznańskiemu“ nie podoba się oczywiście narodowo-demokratyczny charakter „Przełomu“ i dla tego wyraża zdziwienie, że w szeregu współpracowników czasopisma tego stanął ksiądz dr. A. Kopyciński. Oczywiście! Według „Kuryera Pozn.“ ksiądz każdy powinien być lojalistą p a r e x c e l l e n c e i bojkotować wszystko, co tylko innemu służy programowi. Zwracamy uwagę duchowieństwa naszego na odnośny artykuł „Kuryera“, odsłaniający karty zakryte.

* * *

Hr. P i o t r K u t u z o w, znany poeta i publicysta, wydał poemat pod tyt. „Zawiet Caria Pietra“. We wstępie autor podnosi konieczność ukochania ludu i głębszego zbadania jego ideałów chrześcijańskich. W poemacie autorowi, dumającemu nad brzegami Newy, ukazuje się postać Piotra Wielkiego, wzywająca pokolenie obecne, by zaprzestało wzorować się na cudzoziemcach i ujawniło w dziejach przyszłych potęgę duchową zjednoczonej ze słowianami Rosyi, czerpaną ze źródła miłości chrześcijańskiej.

* * *

K o p e r n i k a r c y b i s k u p e m. Głośny p. Molin ma jednak „nos“, że się przyznaje do narodowości niemieckiej. Niemcy takich lubią, szanują, no i wynagradzają.

Są oni hojni nawet dla tych, którym się nigdy niemcami być ani śniło, a których w kilkaset lat po śmierci dla siebie zaanektowali.

Najlepszy przykład na Koperniku. Był on, jak wiadomo kanonikiem frauenburskim i i choć należał do kandydatów na biskupstwo warmińskie, a nawet administrował przez czas niej... dyecezyą, umarł jednak na stanowisku kanonika.

Tymczasem pp. Kuhnmeyer i Schultze w podręczniku do wypracowań niemieckich ogłaszają światu, co następuje: Kopernik był arcyaiskupem fromborskim (!) i z upodobaniem zajmował się astronomią.“ Czego więc nie doczekał się Kopernik, jako polak, tego doczekał się, jako niemiec, bo został arcybiskupem.

Szkoda tylko, że na ten wakans musiał czekać lat przeszło trzysta pięćdziesiąt.

Może i p. Molin za 350 lat zostanie ministrem oświaty.

* * *

„M o n i t o r“, tygodnik polityczno-społeczny i literacki, wychodzący we Lwowie. Nr. 9.

T r e ś ć: Kontrola publiczna. — „Cześć Wam panowie!“ (skonfiskowane). — Nasza „inteligencya“. — W sprawie emigracyi. — Emancypantki niemieckie. — Moralność in minus. — Wiek dziewiętnasty. — Odwrotna strona rewolucyi. — „Kolejarze“. — Zapiski. — Fejleton: Z szarych końców.

* * *

Numer 10 ilustrowanego dwutygodnika „Ś w i a t“ zawiera dwie piękne ilustracye do „Hardych dusz“ Z. Sarneckiego oraz dobry drzeworyt przedstawiający jedną z najefektowniejszych scen Hauptmannowskiej „Hanusi“. W części literackiej spotykamy między innemi nazwiska Krechowieckiego, Rawity, Tetmajera, Hösicka i Prokescha.

* * *

Nowe pismo czeskie. W Pradze poczęło wychodzić nowe pismo codzienne p. t. „Czeskie Noviny“. W artykule programowym zapowiada redakcya, że stoi na gruncie „narodowego stronnictwa wolnomyślnego“ (młodoczeskiego). Dalej wyraża „dążność do federacyi narodów i krajów, z któremi połączeni jesteśmy historycznie i geograficznie“ ale równocześnie oświadcza, że „najpierw sami dla siebie jesteśmy celem i wierzyć będziemy, że lud czeski jest sam i tylko dla siebie“. W kwestyi ogólno-słowiańskiej wyraża się nowy organ dwuznacznie i mglisto.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne. W Berlinie wybuchł strejk mularzy. Obecnie świętuje już 1500 robotników. W Kociebużu 5000 robotników fabrycznych zawiesiło pracę. — Dochody z kolei państwowych w monarchii pruskiej wynosiły w kwietniu r. b. 77.064,000 mr. czyli 3,042,051 mr. więcej niż w kwietniu roku zeszłym. — „Nordd. Volksblatt“ ogłasza dwa tajne reskrypty ministra wojny, w których za pośrednictwem ministra spraw wewnętrznych wzywa naczelnych prezesów, aby władzy wojskowej donosiły, które z osób zaciągniętych do wojska należą do socyalistów lub anarchistów. — Walka wiedeńskich antisemitów z liberałami trwa w dalszym ciągu. Rząd rozwiązał radę miejską.

Teatr i muzyka. Trupa poznańska udała się dzisiaj na występy do Miłosławia, a w przyszłym tygodniu urządzi szereg przedstawień w Pleszewie. Do stałego repertuaru należą: Kraj, Ciotka Kar la, Biedna dziewczyna, Przeor Paulinów, Miód kasztelański i Podróż po Warszawie. — Sarah Bernhardt pożegnała się w tych dniach z Paryżem na całe dwa lata, które spędzi w podróżach po świecie wraz z obecną swą trupą z teatru „Renaissance“. Pierwszym etapem tych występów gościnnych będzie Bruksela, gdzie artystka wydzierżawiła „Theatre de la Monnaie“. Marcela Sembrich, po ukończeniu występów gościnnych w operze k ólewskiej w Berlinie, wyjeżdża niebawem do Londynu, gdzie uczestniczyć będzie w sezonie wiosennym opery włoskiej obok Melby, Tamagna i braci Reszków. — Warszawski korespondent „Kraju“ donosi: „Towarzystwa ogródkowe już szykują się do letniej kampanii. Ma ona być ożywioną i różnostronną. Dyrekcyę „Wodewilu“ obejmuje p. Lucyan Dobrzański, który z towarzystwem swem bawił ostatnio w Moskwie. Dawne „Belle-vue“, przezwane „Teatrem nowości“, dostaje się pod kierownictwo p. Glogera. Chęci nowym dyrektorom nie braknie; czy nie braknie im także środków, to już sprawa inna. Teatrzyki ogródkowe zawsze, niestety, bywają areną rozpaczliwej walki chęci ze środkami. Walka zaczyna się wesoło, z lekceważeniem przeciwności i z wiarą w zwycięztwo, a kończy się... No, nie bądźmy krukami! Zapał i ufność w siebie, zwłaszcza, gdy się złączą z talentem i rzeczywistą miłością dla sztuki, cudów dokazać mogą. Oby dokazały!“ — Eleonora Duse zachorowała na silną neurastenię. Będzie musiała na sześć miesięcy usunąć się ze sceny. — „Śluby Jana Kazimierza“. oratoryum prof. Sołtysa, z tekstem Duchińskiej, zostało ukończone. — Zboiński zjechał do Lwowa na szereg gościnnych występów. Publiczność przyjmuje entuzyastycznie da ... ulubieńca. — Teatr stanisławowski rozwija się coraz pomyślniej zwłaszcza z chwilą wstąpienia do spółki dyrekcyjnej p. Władysława Zamorskiego, byłego artysty sceny lwowskiej, dobrego i fachowo wykształconego rutynisty, który 25-letnią pracę sceniczną i nabyte doświadczenie poświęcił dla dobra teatru imienia hr. Fredry w Stanisławowie. Nowa spółka dyrekcyjna postarała się o nabycie najpierwszych utworów dramatycznych, uprosili zarazem na gościnne występy tragika naszej sceny Romana Żelazowskiego, który wystąpi w kilku najlepszych swych rolach: „Otello“, „Zbójcy“, „Ludwik XI.“ itd. z końcem b. m. Teatr hr. Fredry bawi obecnie w Kołomyi. — Teatr łódzki wydzierżawił znany komedyopisarz Michał Wołowski.

Zjazdy i kongresy. W Wiedniu odbędzie się 4 do 7 czerwca zjazd ginekologów niemieckich. — Drugi zjazd aptekarzy Polaków z wszystkich trzech zaborów odbędzie się stosownie do uchwały I. zjazdu aptekarzy we Lwowie, w Poznaniu w końcu sierpnia r. b. W tym celu ukonstytuował się w tych dniach w Poznaniu komitet gospodarczy, w którego zarząd wchodzą pp. aptekarze: Szymański jako przewodniczący, Jagielski zastępca przewodniczącego, Szczerbiński podskarbi, Henryk Umbreit sekretarz. Aptekarze, mający zamiar wygłosić jakiekolwiek odczyty w zakres farmacyi wchodzące, winni się zgłosić do przewodniczącego p. Szymańskiego, Piekary Nr. 8.

Odpowiedzi Redakcyi.

L. K. Uwzględniliśmy w feljetonie dzisiejszym.

N. N. Artykuliku pańskiego o wystawowym referencie „Kuryera Pozn.“ rozpływającym się w zachwycie nad „obszernemi, czystemi i nawet ozdobnemi wygódkami ukrytemi w krzakach“ nie zamieścimy. Powiemy jednak tyle: Referenta teatralnego „Kuryera“ zaliczył „Kraj“ petersburski do rzędu fryzyerów i fotografów. Ciekawem byłoby dowiedzieć się, do jakiej kategoryi ludzi zaliczy obecnie referenta wystawowego.

H e n r y k K. Broszurę wydaną nakładem naszym p. t. „Uczucie narodowe“ przez J. Brandesa nabyć można w księgarni A. Cybulskiego w Poznaniu.

M a r y a L. w K r a k o w i e. Druk wiadomej nowelki rozpoczniemy w najbliższym czasie.

Za nakład i redakcyę odpowiedzialny: Roman Przyborowicz z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.